Jednota

6
1964

W NUMERZE M.IN.

NIE ZAKOPUJ TALENTU

ŻYĆ DLA POKOJU

EKUMENIA RZYMSKO-KATOLICKA — PLAGIAT SZLACHETNY

ZA CUDZE WINY

KAZNODZIEJA W OCZACH MŁODEGO SŁUCHACZA

W. LÜTHI: KAROL BARTH

BIBLIA PO ŚWIECKU

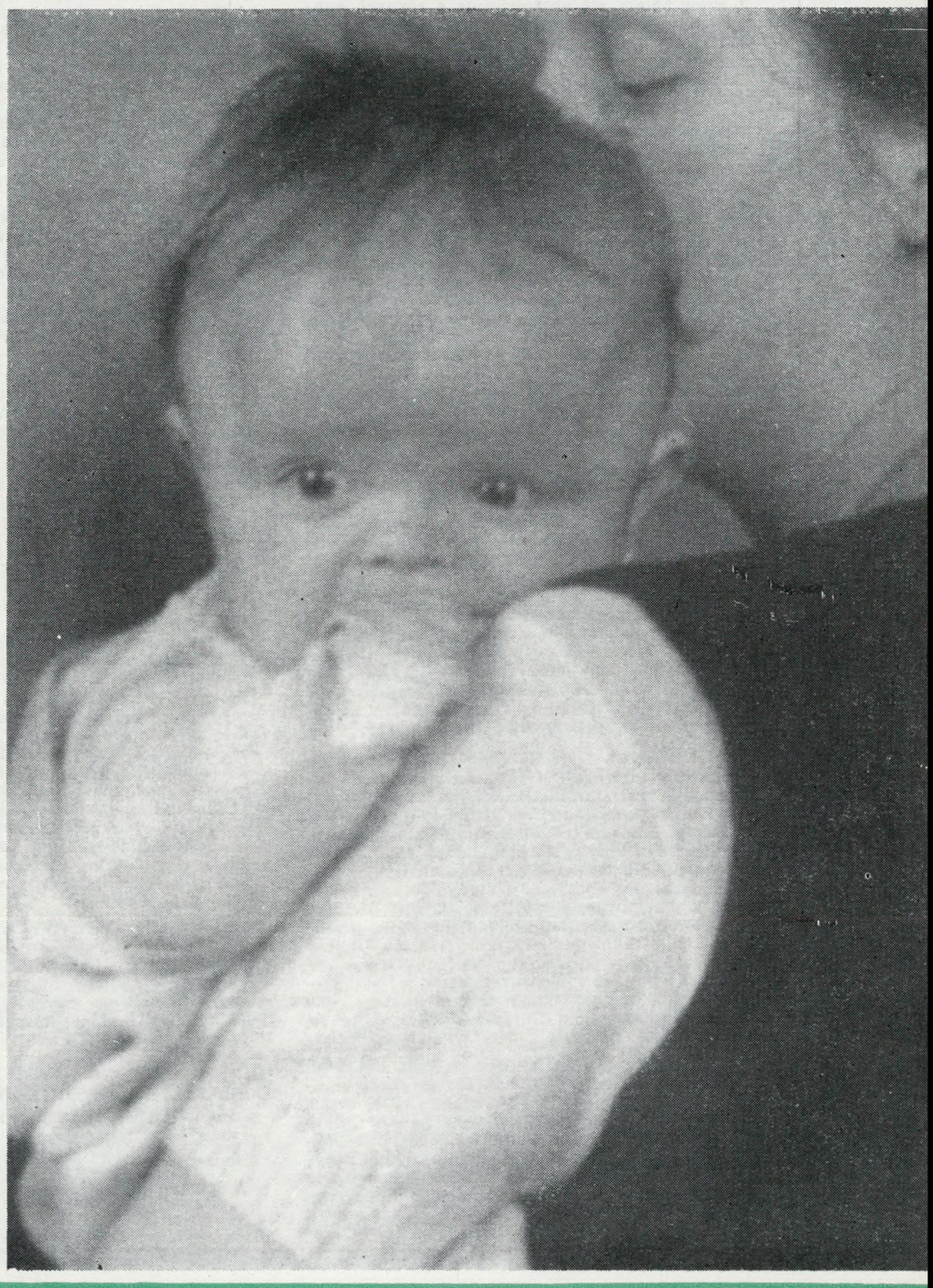

Dzieci muszą mieć dom. Muszą mieć serce matki, połączone z rozumem.

PISMO RELIGIJNO-SPOŁECZNE

MOJE PRZYMIERZE TO ŻYCIE I POKÓJ

Odezwa Polskiej Rady Ekumenicznej

BRACIA I SIOSTRY W WIERZE!

W dniach od 28 czerwca do 3 lipca b.r. odbywać się będzie w Pradze II Ogólnochrześcijańskie Zgromadzenie Pokojowe, pod hasłem: „Moje przymierze to żywot i pokój" (Mal. 2,53). I znów zbiorą się chrześcijanie z różnych kontynentów, z różnych wyznań i wspólnot kościelnych, aby modlić się o zwycięstwo pokoju w świecie, aby radzić nad środkami i wysiłkami, jakie wyznawcy Księcia Pokoju powinni podejmować i rozwijać dla dobra tej sprawy.

Chrześcijańska Konferencja Pokojowa powstała w atmosferze kryzysu politycznego i szczytu zimnej wojny i od początku miała charakter świadectwa i służby. Świadectwa o pokoju, pojętym jako wielkość niepodzielna i wszechogarniająca, a nie ograniczonego jedynie do nieobecności stanu wojny w świecie, — pokoju mającego swe fundamenty w sprawiedliwym porządku międzynarodowym i społecznym, w najwyższym poszanowaniu praw człowieka bez względu na narodowość, rasę, wyznanie, przekonanie, w wolności oraz wzajemnej życzliwości ludzkiej; wreszcie — Chrześcijańska Konferencja Pokojowa chciała i chce być żywym świadectwem pokoju Chrystusowego, pokoju Bożego, o którym tak pięknie mówi Apostoł Narodów, iż „przewyższa wszelki rozum" (Flp. 4,7). Konferencja była też i jest próbą służby, próbą prawdziwej diakonii chrześcijańskiej, co wyraziło się w mnóstwie problemów międzynarodowo-prawnych, politycznych, społecznych i etycznych, rozważanych i objaśnianych w świetle objawienia i teologii chrześcijańskiej. Ta służba mogłaby mieć niemałe znaczenie dla różnorakich czynników kościelnych, tudzież dla działaczy politycznych przyznających się do chrześcijaństwa; ponadto Konferencja nie szczędziła wysiłków, aby poprzez osobiste kontakty i spotkania swych działaczy z politykami, mężami stanu, uczonymi, dziennikarzami i innymi osobistościami mającymi wpływ na życie publiczne, oddziaływać w duchu pastoralnym, któremu przyświeca idea pokoju.

Świadectwo i służba Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej były i są na wskroś ekumeniczne. Wokół Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej skupiły się różne Kościoły i wyznania, różne organizacje i osobistości chrześcijańskie. Konferencja dobrze się przysłużyła rozszerzeniu i umocnieniu społeczności ekumenicznej, nie ograniczając w niczym Światowej Rady Kościołów, a przeciwnie, przybliżając do niej niektóre społeczności kościelne, nie mające z nią przedtem bezpośredniego związku. W ten sposób Konferencja — przy całej różnorodności doktrynalnych Kościołów wchodzących w jej skład — przyczyniła się w jakimś stopniu do tego, aby między wyznawcami Chrystusa utwierdziła się i zachowała „jedność ducha w związku pokoju" (Ef. 4,3).

Od chwili swych narodzin Konferencja przebyła daleką drogę i była świadkiem różnych faz rozwoju sytuacji politycznej w świecie: były w nim chwile groźne i niebezpieczne, jak kryzys kubański, bądź napawające nadzieją i optymizmem, jak układ moskiewski w sprawie wstrzymania eksplozji atomowych. Rzeczywistość dnia bieżącego każe chrześcijanom nadal czuwać i działać w służbie na rzecz pokoju, oczywiście właściwymi sobie środkami, jak modlitwa, świadectwo, zwiastowanie oraz służba w Duchu Chrystusowym.

W tej atmosferze i w takim kontekście bieżących wydarzeń zbierze się II Ogólnochrześcijańskie Zgromadzenie Pokojowe w Pradze. Jego hasło jest optymistyczne i realistyczne zarazem. „Moje przymierze to żywot i pokój". Zgromadzenie Praskie jest zgromadzeniem ludu Bożego, a dla ludu Bożego pojęcie „przymierza" jest czymś bardzo bliskim i zrozumiałym. W istocie bowiem słowo to nie oznacza nic innego jak religię, i to nie w chłodnych, obiektywnych kategoriach naukowych, ale w kategoriach głęboko osobistych i emocjonalnych. W granicach przymierza realizuje się bowiem perspektywa spójni z Stworzycielem, objawionym w Zbawcy świata, ze sprawą Ducha Świętego. Przymierze to jest jednoznaczne z życiem i pokojem.

Cóż może być większego w naszych czasach nad pokój i życie? W tych czasach, które poznały grozę wojny i uświadamiają sobie, że nowa wojna, wojna atomowa, byłaby unicestwieniem życia na Ziemi? Dlatego poselstwo II Ogólnochrześcijańskiego Zgromadzenia Pokojowego jest utwierdzeniem w nadziei i pociechą dla ludu chrześcijańskiego. Dlatego właśnie polskie Kościoły ekumeniczne podejmują z radością to hasło i witają je, jako impuls i wezwanie do dalszej ofiarnej służby i świadectwa na rzecz pokoju.

Naród nasz, który głęboko doświadczył przekleństwa wojny i który znalazł się na dnie pogardy i zagrożenia, od dwudziestu lat buduje nowe życie a w tym trudzie przyświecają mu ideały powszechnego pokoju. Naród nasz nie pragnie pokoju tylko dla siebie, ani nie tylko dla tej części naszego globu, ale dla wszystkich narodów. Propozycje rządu polskiego, jak plan Rapackiego czy plan Gomułki, mogą mieć realne zastosowanie nie tylko w naszej strefie geograficznej, ale także w innych częściach świata. Polskie Kościoły ekumeniczne nie będą szczędzić wysiłków, aby w spotkaniu praskim usłużyć świadectwem polskiej myśli pokojowej poprzednich stuleci i dnia dzisiejszego i aby braciom z innych stref i bloków naszego świata położyć na sercu troskę i staranie o poparcie tych koncepcji, jak i wszelkich innych sprawiedliwych i rozsądnych planów pokojowych.

Bracia i Siostry! W obliczu nadchodzącego Zgromadzenia Pokojowego wzywamy Was serdecznie do modlitwy o triumf pokoju na świecie. Wspierajcie wysiłki swoich Kościołów, poznawajcie dzieło Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej, czyńcie wszystko dla tej największej i najdonioślejszej sprawy dzisiejszego świata!

PREZYDIUM POLSKIEGO ODDZIAŁU CHRZEŚCIJAŃSKIEJ KONFERENCJI POKOJOWEJ

PREZYDIUM POLSKIEJ RADY EKUMENICZNEJ

Jednota
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

ROK VII (XXI) Nr 6

Warszawa Czerwiec 1964 r.

KS. JAN NIEWIECZERZAŁ

Nie zakopuj talentu

Mat. 25,14-30.

Zrządzeniem losu należymy w naszej ojczyźnie do ewangelickiej mniejszości. Z następstwami tego faktu stykamy się codziennie już od kilku wieków. Bywają różne mniejszości, najczęściej jednak wspominane są mniejszości — społeczne, narodowe, rasowe i wyznaniowe. Są mniejszości z natury i mniejszości z wyboru. Te pierwsze nie podlegają przeważnie naszej decyzji, lecz odziedziczone bywają po przodkach i niekiedy, jak np. w przypadku przynależności rasowej, nie sposób z nich się wyłączyć.

Trochę bardziej skomplikowana jest sprawa przynależności wyznaniowej — religijnej. Tutaj działać może zarówno prawo dziedzictwa jak i prawo wyboru. Przykładem prawa wyboru może być np. decyzja apostołów, którzy w pragnieniu pójścia za Chrystusem (w całkowitej świadomości najbardziej przykrych następstw) oddzielili się od masy Izraelitów wiernych Zakonowi.

Śmiem twierdzić, że dzisiejsi protestanci polscy są w większości protestantami z wyboru. Przez to też są i z wyboru mniejszością, ponieważ ich liczba w stosunku do olbrzymiej większości rzymskokatolickiej stanowi skromny zaledwie ułamek.

Świadomość należenia do mniejszości wyznaniowej jest niekiedy deprymująca. Zwłaszcza wtedy, gdy jest ona przez prostaków wytykana, ośmieszana i złośliwie dyskredytowana. Aby się w takich sytuacjach ostać i zachować swe przekonanie, trzeba dużej siły woli, wiary w słuszność obranej drogi, przede wszystkim zaś świadomości, iż idea, której się służy wyraża w swej formie i treści najdoskonalsze prawdy chrześcijańskie.

Tak rozumieli też ten fakt nasi poprzednicy, a za prawo do wyznawania ewangelicznej, oczyszczonej z obcych naleciałości wiary, zarówno reformatorzy jak i ich zwolennicy płacili często daniną krwi, więzieniem i wygnaniem. Narażali się na zarzut odstępstwa, zdrady Kościoła Chrystusowego, herezji. W tym wszystkim spełniały się słowa Pana Kościoła, mówiącego: „Błogosławieni jesteście, gdy was dla mnie lżyć będą i prześladować i kłamliwie wszystko złe przeciwko wam mówić będą" (Mat. 5,11.). Jest faktem, że zwycięstwo każdej wielkiej idei, każdej oczywistej prawdy, angażującej ludzkie serce i sumienie, musi być okupione ofiarami. Tak samo i życie chrześcijańskie według Ewangelii Chrystusowej nie może być nigdzie ustane. Ileż to razy największe duchy ludzkości, dlatego tylko, że wybiegały ponad przeciętność, że nie mieściły się w ramach przeciętnych wyobrażeń, przeżywały tragedię poniżenia, pogardy i drwin.

Takie już jest życie. I w tym wzorze ceny inności, ceny różności i losu mniejszości mieścić się będzie nasze ewangelickie życie, nasza sytuacja, nasza rola. Lecz — zapytajmy, cóż ma z tym wszystkim wspólnego podana wyżej w tekście przypowieść o talentach? Tyle, myślę, że i my, jako mniejszość wyznaniowa otrzymaliśmy od Pana talenty, którymi po równi z innymi mamy gospodarować. Po wtóre, dowiadujemy się, że ostateczny osąd naszej wartości i nagroda w oczach Boga nie zależy od tego jak wielkie jest nasze szafarstwo lub też jak wielkie ilościowo zyskaliśmy plony naszej pracy — boć przecież i za pięć i za dwa pozyskane talenty równa jest nagroda — chodzi przede wszystkim o to, czy w służbie naszej byliśmy wierni, czy wykazywaliśmy się dbałością o powierzone dobro. Z tego wniosek, że jeśli, jako ewangelicy, przeświadczeni jesteśmy o przejętym z przeszłości skarbie, to winniśmy o ń dbać, skarbu tego strzec i ku chwale Boga pomnażać.

Świadomość należenia do mniejszości wyznaniowej zawiera w sobie wyraźne niebezpieczeństwo i zadania.

1. Niebezpieczeństwa . Każda większość jest skłonna przypisywać sobie posiadanie większych praw, większej siły i większej dozy obiektywnej prawdy. Historia Kościoła chrześcijańskiego daje wiele dowodów na to, że owe czysto zewnętrzne atrybuty były często zużytkowywane ku tłumieniu i niszczeniu przejawów życiodajnego ducha, ku niweczeniu nowych prądów, mających na celu odrodzenie i dalszy rozwój Kościoła. W zapamiętałym obwarowywaniu się na zajętych pozycjach więk-

szość łatwo staje się niesprawiedliwa, dufna i nietolerancyjna. Bardzo często jej samozadowolenie i poczucie siły prowadzi do skostnienia i nieuzasadnionej pychy.

Również i mniejszość wyznaniowa poddana bywa wielu pokuszeniom. Poczucie mniejszości może stać się niekiedy powodem konformizmu, chęci upodobnienia się do większości, słabości ducha, niekiedy zaś ukrywania swej odrębności i do zakopywania posiadanego skarbu bezużytecznie w ziemi. W przypadkach nacisku i prześladowania ze strony większości, jednostki słabsze i mniej odporne poddają się w tej walce i przechodzą na stronę przeciwną. Świadectwem tego mogą być choćby dzieje polskiej Reformacji a zwłaszcza okres kontrreformacji, kiedy to wielu ewangelików, nie mogąc dłużej znosić upokorzenia i prześladowania, opuszczało szeregi protestantów. Ze zjawiskiem tym spotykamy się również, niestety, i dzisiaj. Dlatego też musimy pamiętać o apostolskim słowie: „Trzymaj co masz, aby nikt nie wziął korony twojej", (Obj. 3,11) oraz „na ostatek, bracia moi, wzmacniajcie się w Panu i w sile mocy jego". (Ef. 6,10.).

Niebezpieczeństwem towarzyszącym słabości może być i pycha. I z nią mamy niekiedy w naszym życiu mniejszości do czynienia. Nie jest to pycha wypływająca z poczucia siły lecz wyrastająca z przeświadczenia o posiadaniu wyjątkowego skarbu, którego jesteśmy jakoby wyłącznymi dysponentami. Nieświadoma nawet pycha powoduje wyłączanie się z szerszej społeczności, niedostrzeganie rzeczywistych lecz cudzych wartości, zamykanie się w getcie, niekiedy zaś niepotrzebne cierpiętnictwo. Zarówno więc duchowa słabość i tchórzostwo jak i nierozumna pycha stanowić mogą przeszkody na drodze do normalnego i zdrowego życia mniejszości w tworzeniu nowych duchowych wartości.

2. Nasza rola. Jaka więc ma być rola i zadanie ewangelickiej mniejszości? Wiele już wypisano atramentu i wydrukowano książek na temat istoty, roli i znaczenia ewangelicyzmu w naszym kraju. Wiemy, że są tacy, którzy negują ów wkład protestantyzmu, dopatrując się w Reformacji polskiej czynnika dezintegrującego społeczeństwo polskie, obiektywny jednakże sąd nakazuje ustosunkować się do niej pozytywnie. Reformacja była czynnikiem kulturotwórczym i postępowym. Dla nas ma ona przede wszystkim znaczenie religijne. Wniosła ona w życie naszego narodu odkryte na nowo elementy ewangelicznej wiary, ożywiła uśpione sumienia, odsłoniła zakrytą namiastkami wiary właściwą drogę człowieka do Boga. Dała do ręki szukającemu chrześcijaninowi jedyny przewodnik jakim jest Pismo święte, nauczyła samemu odnajdować prawdę życia w Chrystusie, pomogła zagubionym w labiryncie sprzecznych sądów wyrobić sobie sąd o prawdziwym człowieku, o jego istotnej wartości i o jego możliwościach. Reformacja przybliżyła człowiekowi prawdziwy obraz Chrystusa, przypominając zarazem, iż On jest uosobieniem prawdy, On jest drogą i treścią życia wierzącego. W tym też zwierciadle z całą jaskrawością odbiły się wszelkie ułomności i niedoskonałości ludzkiej natury, zmuszając nas zarazem do wysiłku nad doskonaleniem, uszlachetnianiem i rozwojem ducha. Jeśli więc dzisiaj pytamy co stanowi o owej szczególności naszej ewangelickiej mniejszości, to przede wszystkim fakt posiadania religijnego i moralnego testamentu, nakazującego nam stale na nowo czerpać z jedynej krynicy życia jaką jest dla nas Słowo Boże. By nie stało się ono dla nas szacownym jeno reliktem przeszłości, księgą o dawno minionych dziejach życia narodów i wiary przodków, lecz stale żywą mocą, kształtującą i wzbogacającą serca, myśli i uczucia. Przez to samo nasza mniejszość wyznaniowa, o ile oczywiście swą wiarę przepoi umiłowaniem bliźnich, troską o dobro społeczne i duchem twórczego działania, stanowić będzie niezbędny czynnik współczesnego życia.

Niekiedy pytamy czy to możliwe, by nasze Kościoły były w stanie z powodu swej słabości dać dowód konkretny i widomy swej wiary i swego posiannictwa. Przecież tyle w nas małości i tyle zwątpienia. Przypomnijmy sobie jednak na tym miejscu ową piękną przypowieść o ziarnku gorczycznym, które w wielkie drzewo urosło oraz prawdę, iż co u ludzi niekiedy jest niemożliwe to u Boga staje się rzeczywistością. Prawdą też jest, że my sami wbrew oczywistości często wątpimy, nie zadając sobie najmniejszego trudu by wyzbyć się słabości, by wzmocnić swą wiarę. Jakże często siadamy nad rzekami Babilonu i zawiesiwszy harfy swe na drzewach wspominamy raj utracony. Oczy nasze nie dostrzegają drogi, serce napełnia się zwątpieniem a dłonie bezsilnie wspieramy na pielgrzymim kiju. Zapominamy, że przecież i nam Pan Kościoła powierzył talent, który ma przynosić zyski. Nie wolno nam w beztrosce i lenistwie oddawać się złudzeniu, iż z powodu naszej małości nasza praca pozostaje niezauważona i niepodlegająca osądowi Boga i ludzi. Zadaniem naszym było i pozostanie tworzenie nowych wartości życia, czego przykładem nasza reformacyjna przeszłość, jej bogactwo, zdecydowanie i siła przekonania.

Zdarza się, iż myśląc o położeniu i stanie naszego polskiego protestantyzmu, wpadamy w pokuszenie odwracania uwagi od chwili obecnej i kierowania jej ku przeszłości. To tak, jak gdyby owe wielkie dzieje i sławne nazwiska przysłonić miały naszą obecną małość i naszą przeciętność. Odgrzebujemy z mroków przeszłości naszych antenatów, podziwiamy ich dzieło, wspomniamy zasługi i... na tym przeważnie poprzestajemy Zapominamy niestety, że przeszłość o tyle ma wartość o ile jest źródłem, z którego czerpać można mądrość, przykład lub ostrzeżenie. Jeśli zaś wspominamy wielkość pewnej epoki to dlatego, by jej owoce na nowo zużytkować dla potrzeb współczesności. Jakże bardzo potrzebujemy i my dzisiaj owej wiary, siły przekonania i twórczego ducha naszych ojców. Po to, by przeżywać na nowo w całej świeżości piękno Ewangelii Chrystusowej, by z ducha miłości wykrzesać w ostygłych sercach twórcze moce szczerej służby bliźniemu, po to wreszcie, by zrozumieć, iż wierne i mądre gospodarowanie skromnym nawet talentem nagrodzone będzie słowem Pana: „To dobrze sługo dobry i wierny, nad małym byłeś wierny, nad wielem cię postanowił".

Giorgio GIRARDET

ŻYĆ DLA POKOJU

Chrześcijanie tak w przeszłości, jak i dzisiaj są zamieszani w historię wojen i wojennych przygotowań*). W latach 1914 — 1918 Kościoły, zasłaniając się posłuszeństwem, wzięły szczery udział w walce. Chrześcijańska kultura zachowała milczenie, ponieważ nie miała nic do powiedzenia, albo usprawiedliwiała ideologie wspierające wojnę. W okresie międzywojennym strach przed rewolucją komunistyczną nie pozwalał znakomitej większości dostrzec zbliżających się wydarzeń. Dopiero podczas drugiej wojny światowej dały się zaobserwować pierwsze nieśmiałe oznaki dążenia chrześcijan do pojednania. A dziś? Pomimo, że chrześcijański ruch pokojowy bez wątpienia istnieje, ogromna masa chrześcijan w Kościołach pozostaje obojętna wobec wszelkiej akcji na rzecz pokoju. Pragniemy pokoju, podobnie jak wszyscy, ale nie potrafimy z całych sił do niego dążyć, nie potrafimy wyjść poza sentymentalne i patetyczne upomnienia: słuchajcie, bądźcież rozsądni, czy nie widzicie, że dalej tak postępując, możemy wszyscy wylecieć w powietrze?

Nadszedł czas, aby nasza przynależność do Chrystusa nabrała konkretnego wyrazu przez postępowanie aż do końca w zgodzie z Ewangelią pokoju i przez wyciągnięcie z niej ostatecznych konsekwencji dla naszego życia. Pokój Chrystusowy to nie jakaś ideologia, a więc doktryna polityczna, dzięki której moglibyśmy uważać się za zdolnych do rozwiązania problemu wojny i pokoju, to nie „pacyfizm", lecz styl życia: w Chrystusie jesteśmy powołani do „pokojowego życia" we wszelkiej działalności, ponieważ będąc pojednani z Bogiem, pokój mamy ze wszystkimi ludźmi. Odwieczna wrogość wszystkich przeciw wszystkim może ustać. Możemy odłożyć na bok nasz oręż obronny i zaczepny. Pokój, jako styl życia oznacza, że w każdej sytuacji i w każdym czasie możemy okazać solidarność z człowiekiem, z każdym uciśnionym, wzgardzonym, znajdującym się w potrzebie, lub cierpiącym, ponieważ w każdym człowieku widzimy godność Bożego obrazu, który Chrystus przez swe dzieło w nim odnowił i musimy dać mu to poznać. Pokój między ludźmi nie ma być wspaniałą wizją, która pozwoli nam jeszcze raz realizować chrześcijańską politykę w celu przeciwstawienia jej odmiennej polityce, ponieważ w ten sposób popełnilibyśmy znowu fatalny błąd. Pokój dotyczy wszystkich ludzi, nie tylko chrześcijan

G. GIRARDET (z lewej): „...możemy i powinniśmy już od dziś ukazywać konkretne znamiona Jego pokoju we wszelkim osobistym działaniu na rzecz pojednania między ludźmi..."

i powołaniem wszystkich jest dla niego pracować. Ewangelia uczy nas, że chociaż do powszechnego pokoju nie da się doprowadzić środkami politycznymi — bowiem jest on darem Chrystusa, zachowanym dla nas do chwili przez Niego uznanej za stosowną — możemy i powinniśmy już od dziś ukazywać konkretne znamiona Jego pokoju we wszelkim osobistym działaniu na rzecz pojednania między ludźmi.

Z tego wynikają dla życia naszych Kościołów ważne konsekwencje, których zasięg trudno jeszcze określić. Chrześcijański, pokojowy styl życia oznacza, że pomiędzy chrześcijanami w Kościołach nie może mieć miejsca podział, ani różnice z powodu ludzkich tradycji, klas społecznych, lub ras. Wszystkie nasze oddzielne Kościoły przestaną istnieć, a jeżeli przetrwają to najwyżej jako rozmaite sposoby dążenia do tego samego, wspólnego celu Ewangelii pokoju. Chrześcijański, pokojowy styl życia oznacza, że żaden chrześcijanin nie może pozostać obojętny, lub „bez zdania" wobec zagadnień sprawiedliwości, wolności, pokoju między ludźmi, lecz aktywnie angażuje się w dążenie do porozumienia (nie uznaje granic ideologicznych, ani politycznych), pojednania i sprawiedliwości. Zajmuje swoje własne, oparte na rzeczowym rozważaniu informacji, stanowisko co do jedności Niemiec, sprawy Fidela Castro, znaczenia rządu Franco w Hiszpanii, czy co do Związków Zawodowych. Gotów jest zaangażować się w konkretnej działalności na rzecz pokoju (czy też wolności i sprawiedliwości, przy pomocy których będzie budował pokój), poprzez swe głosowanie, przez działanie na opinię publiczną, czy stowarzyszenia, albo organizację, której jest członkiem. Chrześcijański, pokojowy styl życia nie jest zazdrośnie zastrzeżony dla chrześcijan, lecz wymaga otwartego i uczciwego współdziałania z tymi, którzy walczą o ten sam cel, bez ideologicznych ograniczeń. Ten bo-

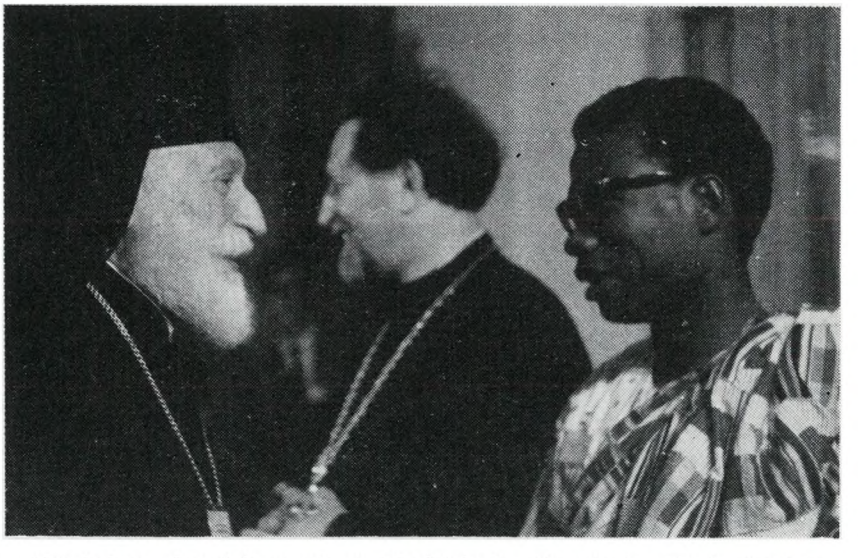

„...Pomiędzy chrześcijanami w Kościołach nie może mieć miejsca podział, ani różnice z powodu ludzkich tradycji, klas społecznych lub ras."

*) Past. Giorgio Girardet jest dyrektorem ośrodka „Agape" we Włoszech. Czynnie współdziała w pracach kierownictwa Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej. Artykuł zamieszczony został w kwartalniku „Conférence Chrétienne pour la Paix" Nr 2, 1963.

wiem, który z kamieni może powołać synów abrahamowych mocen jest przekształcić najbardziej sprzeczne intencje ludzi w dzieło pokoju. Wolą Jego jest jednak, aby wierzący w przyjście Jego Królestwa, uczciwie współpracowali z innymi.

Tak się przedstawia wizja Kościoła przyszłości: niezależnie od tradycyjnych Kościołów, które być może zachowują część swej wartości i powagi, działalność chrześcijańska zostanie powierzona grupom chrześcijan, gotowym realizować chrześcijański, pokojowy styl życia w najróżniejszych warunkach i najdalszych zakątkach, jak „komandosi", działający w odosobionych grupkach tak na terenach przyjaznych, jak na terenach wrogich, zjednoczeni jedną wiarą w Chrystusa, Księcia pokoju, który chce, aby świat poznał Go jako tego, który ofiarowuje ludziom pojednanie i pokój. Jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki i wymaga ona od wielu z nas poważnego i pełnego zaangażowania.

Tłum. St. Br.

WITOLD BENEDYKTOWICZ

Ekumenia rzymskokatolicka – plagiat szlachetny

UWAGI WSTĘPNE

Ekumenizm jest problemem nie tylko międzywyznaniowym, lecz także międzynarodowym. Znajduje to swe odbicie zarówno w międzynarodowym charakterze organizacji Światowej Rady Kościołów (World Council of Churches), jak i w doświadczeniach lokalnych, krajowych rad ekumenicznych oraz różnych wspólnot chrześcijańskich na wszystkich kontynentach, w rozmaitych państwach i krajach.

Rozważania, które tu przedstawiam, będą nawiązywać przede wszystkim do naszych doświadczeń polskich, jakkolwiek w zrozumiałym powiązaniu z ruchem ekumenicznym poza granicami naszego kraju.

TWIERDZENIE PIERWSZE

Ruch ekumeniczny w obecnym swym kształcie, jako dążenie do zbliżenia i zjednoczenia chrześcijan różnych orientacji doktrynalnych i różnych tradycji, jest możliwy jedynie tam, gdzie brak jedności.

Jest rzeczą oczywistą, że chrześcijaństwo historyczne nie stanowi jedności. Ekumeniści współcześni wyróżniają słusznie „trójpodział chrześcijaństwa". Mamy więc chrześcijaństwo rzymskokatolickie, prawosławne i protestanckie. Czwarty partner — starokatolicki — nie uwzględniony w takim podziale, mógłby się mieścić między prawosławiem a protestantyzmem.

Nowoczesny ruch ekumeniczny począł się na skrzydle protestanckim. Za datę jego narodzin możemy przyjąć rok 1910. Jest to data konferencji w Edynburgu, której owocem była Międzynarodowa Rada Misyjna. Ewenement ten otworzył szerokie perspektywy ekumeniczne, przyczynił się do zbliżenia różnych wyznań protestanckich, a jego rezultatem był ruch międzynarodowy i międzykościelny, wyrażający się w Światowej Radzie Kościołów, ukonstytuowanej w Amsterdamie w 1948 r.

Pochodzenie protestanckie nowoczesnego ruchu ekumenicznego tłumaczy się tym, że Kościoły wywodzące swój rodowód z Reformacji XVI wieku najdotkliwiej odczuwały brak jedności. **Jedynie na tle ich wielkości i różności, konfrontowanych z ideałem jedności chrześcijańskiej, mogły się zrodzić tęsknoty ekumeniczne.**

Kościół rzymskokatolicki nie mógł być ojczyzną ruchu ekumenicznego takiego, jakim go znamy. Przeświadczony o swojej jedności, jedyności i ekumeniczności czyli powszechności, mógł oferować swoim partnerom wyłącznie drogę powrotu: „z powrotem do Rzymu!"

Prawosławie, mimo swego podziału na Kościoły narodowe i autokefaliczne, zachowało obiektywną jedność w sprawach wiary, praktyki i ustroju. W istocie nie potrzebowało ono dla siebie oferty ekumenicznej. Mimo to prawosławie stało się nie tylko sprzymierzeńcem, ale nawet uczestnikiem ruchu ekumenicznego. Stanowi to piękny rys, świadczący o trosce o całość chrześcijaństwa.

TWIERDZENIE DRUGIE

Od czasów pontyfikatu Jana XXIII i II Soboru Watykańskiego, słownik rzymskokatolicki wzbogacił się o nowy termin: **ekumenizm**. Nie znaczy to, by przedtem ten termin był katolickiej teologii nieznany. Jednakże jesteśmy świadkami zawrotnej i błyskawicznej kariery idei ekumenicznej po stronie rzymskokatolickiej. Przeciętny konsument prasy rzymskokatolickiej dowiaduje się o ekumenii po raz pierwszy. I to dowiaduje się o niej w ten sposób, **jakby była odkryciem teologów i hierarchów rzymskokatolickich**. Jest to szczególnie symptomatyczne na terenie naszego kraju, gdzie wyznania nierzymskokatolickie stanowią niewiele więcej ponad 2% w statystyce ludności. Nic dziwnego, że **środki** informacyjne nierzymskokatolickich grup chrześcijańskich w Polsce nie mogły spopularyzować idei ekumenicznej wśród ogółu społeczeństwa. Starczyło zaledwie możliwości na dotarcie z poselstwem do własnych wyznawców; można przyjąć, że dzięki działalności prasy wyznaniowej, wzajemnych kontaktów i spotkań, a w szczególności dzięki organizowaniu tygodni modlitwy, większość wyznawców Kościołów nierzymskokatolickich w Polsce została co najmniej poinformowana o istnieniu ruchu ekumenicznego, pewną część ich zaś dało się zainteresować i zapalić dla idei ekumenicznej.

Byłoby niesprawiedliwością utrzymywać, że opinia publiczna rzymskokatolicka nie jest w ogóle informowana o ruchu ekumenicznym pozarzymskokatolickim a nawet o jego starszeństwie. Akcentuje się wszakże własne inicjatywy i osiągnięcia, co jest zresztą zrozumiałe. Ogół rzymskokatolicki tylko z trudem zaczyna dostrzegać w naszym kraju istnienie innych grup chrześcijańskich i widzieć wśród nich „braci", jakkolwiek odłączonych.

W ten sposób my, ekumeniści w Polsce, legitymujący się doświadczeniem paru dziesiątków lat, mamy do czynienia z nowym zjawiskiem: ekumenią rzymskokatolicką. Przybrała ona nawet konkretne kształty w postaci komisji bądź ośrodków erygowanych u boku zwierzchności duchownej. Dla niektórych działaczy bądź sympatyków ruchu ekumenicznego wydaje się to czymś dziwnym: najchętniej widzieliby bowiem zbliżenie ekumeniczne z partnerem rzymskokatolickim w ramach istniejącej już od dwudziestu lat Polskiej Rady Ekumenicznej, w granicach ruchu, który przez swe wieloletnie istnienie uwalnia, w ich mniemaniu, od konieczności tworzenia nowych ogniw i nowych komórek w postaci wspomnianych komisji i ośrodków. Rozumowanie takie, mimo pozorów, nie jest naiwnością. Przeciwnie, jest ono wyrazem przeświadczenia o autentyczności ruchu ekumenicznego, w którym uczestniczą. Skoro zaś taki autentyczny ruch istnieje i skoro jego założeniem jest jedność, to po co tworzyć inny, nowy ruch? Wystarczy wejść w dialog z ruchem już istniejącym.

W powyższym akapicie starałem się streścić i scharakteryzować myślenie niektórych działaczy ekumenicznych. Teraz zaś pragnę przystąpić do kolejnej tezy:

Ekumenia rzymskokatolicka, jaka znamy od pontyfikatu Jana XXIII i II Soboru Watykańskiego jest refleksem nowoczesnego ruchu

ekumenicznego, poczętego w łonie protestantyzmu, wspartego przez prawosławie i starokatolicyzm, a stanowiącego społeczność wszystkich Kościołów i ugrupowań chrześcijańskich, oprócz rzymskokatolickiego.

Tezie tej można postawić zarzut, że ignoruje ona wymiar pneumatyczny, duchowy zagadnienia, że ogranicza się jedynie do aspektów immanentnych i empirycznych. Odpowiem: jest to zabieg świadomy i celowy. Aspekt pneumatyczny biorę świadomie w nawias, rozważania moje obracają się w kategoriach socjologicznych.

A oto próba uzasadnienia powyższej tezy:

Kościół rzymskokatolicki ignorował ruch ekumeniczny XX wieku. Dopiero pod koniec pontyfikatu Piusa XII zaczęły się ostrożne próby, zmierzające do poznania zasad, celów i metod ruchu ekumenicznego oraz nawiązania ograniczonego kontaktu. Za pontyfikatu Jana XXIII nastąpiła prawdziwa eksplozja zainteresowań ekumenicznych w Kościele rzymskokatolickim. Po ludzku rzecz biorąc, jest to niewątpliwa i wielka zasługa tego męża. Stąd też II Sobór Watykański od początku stanął pod znakiem ekumenizmu, jakkolwiek pozostał wewnętrzną sprawą Kościoła rzymskokatolickiego. Jak wiadomo, na Soborze znaleźli się obserwatorzy innych wyznań chrześcijańskich i Światowej Rady Kościołów. Teologia rzymskokatolicka wzięła na swój warsztat zagadnienia ekumeniczne. Mówi się nawet o teologii ekumenicznej. **Niemniej problem ekumeniczny w XX wieku postawili ci, którzy w opinii Kościoła rzymskokatolickiego są „braćmi odłączonymi".** Stało się to na zewnątrz tego Kościoła. Kościół rzymskokatolicki podjął zatem ten problem z zewnątrz. Było to refleksem istnienia i rozwoju ekumenii poza Kościołem rzymskokatolickim. **Bez doświadczeń Światowej Rady Kościołów i całego ruchu ekumenicznego problem ten nie stanąłby na wokandzie rzymskokatolickiej w takiej postaci i w takich proporcjach,** jak to poznaliśmy za pontyfikatu Jana XXIII i w czasie II Soboru Watykańskiego.

TWIERDZENIE TRZECIE

Charakter ekumenizmu rzymskokatolickiego jest plagiatorski.

Teza taka nie ma bynajmniej na celu generalnego deprecjonowania poczynań ekumenicznych na gruncie rzymskokatolickim. Dlatego w tytule tych rozważań mówi się o „plagiacie szlachetnym".

Do istoty plagiatu należy zapożyczenie czyjejś myśli i jej konkretnego wyrazu, przemilczenie oryginalnego autorstwa i przypisanie go sobie. Ze strony rzymskokatolickiej nie neguje się źródeł pochodzenia nowoczesnego ekumenizmu, ani się ich nawet nie przemilcza. A jednak w tym rzymskokatolickim zabiegu ekumenicznym jest coś z plagiatu. Jest uznanie problemu dotychczas obcego, z zewnątrz, za swój własny problem; jest próba rozwiązania tego problemu nie na tym gruncie, na którym powstał, ani nie w ramach tej społeczności, która jest wynikiem ruchu ekumenicznego, t.zn. nie w ramach Światowej Rady Kościołów, w której Kościół rzymskokatolicki miałby prawo zajęcia stanowiska równorzędnego z innymi Kościołami; jest za to próba rozwiązania problemu na własnym warsztacie i zaserwowania gotowego rozwiązania tym, którzy od dziesięcioleci tym problemem żyli, którzy go w ogóle postawili i którzy wnieśli konkretny i ogromny wkład w jego interpretację. Co więcej, można powiedzieć, że po stronie rzymskokatolickiej dano nie próbę, lecz rozwiązanie problemu ekumenicznego, które się streszcza w propozycji: **szukacie jedności, — wróćcie do Kościoła rzymskokatolickiego, tam ją odzyskacie".** Że to jednak nie jest rozwiązaniem problemu, wiedzą nie tylko ekumeniści, z tego zdają sobie również sprawę co trzeźwiejsze umysły w Kościele rzymskokatolickim.

Lecz w mentalności przeciętnego wyznawcy Kościoła rzymskokatolickiego takich wątpliwości nie ma. Tam się przyjmuje jako oczywiste to, że poszukiwacze jedności chrześcijańskiej mogą ją znaleźć jedynie w Kościele rzymskokatolickim, który ją zawsze posiadał i posia-

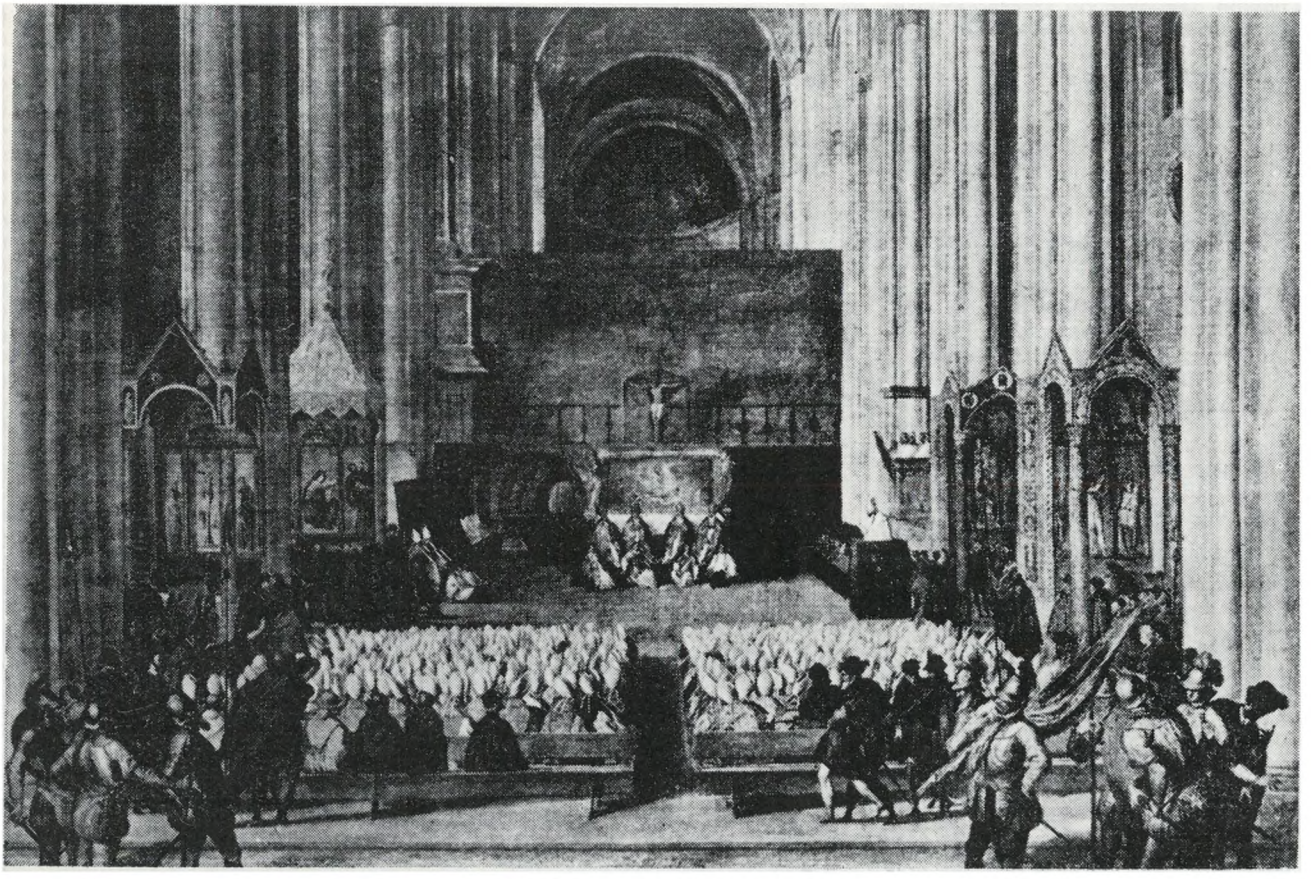

Tycjan: Sobór Trydencki.

da. I tu na pewno jest coś nie w porządku. Dlatego, że urzeczywistnienie jedności nie jest jednoznaczne z osiągnięciem jednolitości organizacyjnej. Ponadto dlatego, że wymaga kroków obopólnych. Ktoś mógłby powiedzieć, że obecne stanowisko Kościoła rzymskokatolickiego jest takim śmiałym wyjściem naprzeciw „odłączonym braciom". Że dopuszczenie obserwatorów na Sobór, pielgrzymka Pawła VI do Ziemi Świętej, spotkania i konferencje, rewaloryzacja doktryn protestanckich, etc. mają znamiona daleko idących kroków pojednawczych. Niewątpliwie, są to objawy pomyślne i pożyteczne, ale jak się ma sprawa z samym jądrem zagadnienia? Czy tutaj posunęliśmy się naprzód? Czy problem podziału chrześcijaństwa został przezwyciężony? Nie, na pewno nie!

Mimo to możemy witać z zadowoleniem tęsknoty ekumeniczne w Kościele rzymskokatolickim. Coś się we wzajemnych stosunkach wyznań, przynajmniej na pewnych szczeblach, zaczęło zmieniać. Byłoby o wiele lepiej, gdyby niektóre posunięcia ekumeniczne ze strony rzymskokatolickiej nie miały cech posunięć taktycznych. I gdyby im towarzyszyła idąca głęboko w dół, w masy społeczne, zmiana postaw w stosunku do „braci odłączonych". A tak jeszcze nie jest, tak nie jest na pewno w naszym kraju.

REFLEKSJE KOŃCOWE

Jedność chrześcijaństwa jest na pewno tak wielką rzeczą, że cieszyć się należy z rozwoju i postępu tej idei, gdziekolwiek by się dokonywał. Dlatego miłośnicy ekumenii nie będą ubolewać, jeśli ich idea szerzyć się będzie gdzie indziej, w w tym konkretnym przypadku w obrębie Kościoła rzymskokatolickiego. Przeciwnie, będzie to dla nich źródłem radości i potwierdzenia, jak wielką i żywotną jest idea ekumeniczna. Jej wejście w szranki rzymskokatolickie jest zjawiskiem pocieszającym. Przyswojenie jej tam sobie i uznanie za własną, a nawet jej dyskontowanie może być poczytane za plagiat, ale plagiat szlachetny, uszlachetniony przez jej treść istotna. Powinniśmy życzyć jej pomyślnego rozwoju w tych kręgach, gdzie tak długo była obca, bądź ignorowana. Powinniśmy spoglądać z nadzieją na owoce, jakie przynieść może: wzajemne zrozumienie, zgodę, pokój i współpracę. Jeśli w tym się osiągnie jedność, to już będzie wiele, bardzo wiele...

POSTSCRIPTUM

Byłbym wielce rad, gdyby rozważania pobudziły do myślenia i wypowiedzi. Niech by nawet były kontrowersyjne. Niech by się odezwały z różnych stron. Niech by przedstawione tu tezy i refleksje posłużyły jako prowokacja do myślenia i wymiany zdań...

„Słuchaj synu mój ćwiczenia ojca twego, a nie opuszczaj nauki matki twojej, bo to przyda wdzięczności głowie twojej i będzie łańcuchem kosztownym szyi twoiej."

Przypowieści Salomona 1,8-9.

Tadeusz KOŃCZYC

MATKA

W tym cichym dniu dzisiejszym, nagle w pewnej chwili
Wiatr nadlatujący na skrzydłach motylich
Z jakiejś błękitnej dali przywiał Twoje imię...
I rzucił promień słońca w chłodną życia czeluść
I z duszy zabrał smutek, z czoła zmarszczek cienie
I rozbudził uśpioną po latach tak wielu —
— Baśń dzieciństwa, baśń złotą, zdobną Twym wspomnieniem.

I oto zobaczyłem znowu jak na dłoni,
Te dni, gdyś była z nami, Matko moja miła,
Kwitły drzewa, jak teraz, strumień cicho dzwonił,
Strojna, jak panna młoda wiosna przechodziła
Swiatem, co taki dziwnie uroczy był wówczas:
Nad kielichami kwiatów nosił się rój pszczeli
I wszędzie dookoła wrzała praca mrówcza,
A z pól zapach koniczyn szedł i saradeli.

Nasz ogród był jak jedno pachnące marzenie,
Cichy i bezszelestny zefir drzewa muskał,
I budził się z Twoim na ustach imieniem,
I zasypiał z Twoim imieniem na ustach.
Słońce nie wychodziło wtedy za próg domu,
Nawet gdy błękit nieba burzą się zachmurzył,
I wśród jasnego szczęścia żyliśmy ogromu,
Jak by w wiecznie trwającej, radosnej podróży.

Czemu dopiero teraz, gdy wszystko czas zmienił
I zamknął drogie oczy Twe, Matko, na wieki,
Tę pełnię przesłonecznej radości oceniam
I myśl posyłam żywą w tamten świat daleki...
Czemu dopiero teraz wiem, że do ostatka
Będę tęsknił i smutku przędzę snuł zawiłą,
Bo uczucia zaklęte w świętym słowie „MATKA"
Są wszystkim tym, czym trwamy, wszystkim, czym się żyło...

RAFAŁ CZERNIŁŁOWICZ

ZA CUDZE WINY

27 maja br. minęła czterechsetna rocznica śmierci Jana Kalwina. Autorzy katoliccy, powołując się na świadectwa rzekomo naocznych świadków, naogół zgodnie twierdzą, że Kalwin tak nędznie umarł, jak podobno nędznie żył. Reformator genewski umarł podobno śmiercią Heroda, tzn. za życia gnił, a ciało jego wydawało tak nieznośny odór, że wszyscy uciekali od jego łoża. Podobno w rozpaczy wzywał diabła i w najcięższych mękach oddał mu grzeszną swą duszę. Wprawdzie Florimond Remond, alias jezuita Richeaumé, twierdził co innego. W swojej książce „L'Histoire de la hairrauce, progrez et dékadence de l'Hérésie" (Paris 1605) napisał o reformatorze genewskim, że w słabym jego ciele przebywał silny duch, a papież Pius IV (1499—1559—1565) na wiadomość o śmierci Kalwina wyraził się, że wpływ tego wielkiego heretyka tkwił w tym, iż pieniądze go nie nęciły, i że gdyby on, papież, miał takie sługi, władza jego sięgałaby od morza do morza. Niemniej wśród ogółu katolików krążyły, a bodaj jeszcze dziś krążą, o Kalwinie nieprawdopodobne wieści.

Gdyby źródłem tych informacji była tylko fantazja i fanatyzm ciemnego ludu, nie byłoby tak źle. Friedrich Heiler (Der Katholizismus, München 1923, 325) stwierdza, że wieści te głosili właśnie papieże, którzy najokropniej spostponowali pamięć reformatorów — ludzi, którzy nie chcieli ugiąć się przed ich autorytetem, a którzy w czasach największego upadku Kościoła wskazywali nowe drogi. Obrzucono więc ich obelgami, pomawiając o niemoralne i bezbożne motywy, jako zatraceńców (viri reprobi), synów ciemności (tenebrarum filii), szerzycieli zarazy (homines pestiferi), ludzi bez czci i wiary. Pius X (1903—1914) obrzucił reformatorów błotem gorzej niż Urban VIII (1623—1644). Dla niego byli reformatorzy „superbi ac rebelles homines, inimici crucis Christi, qui terrena sapiunt, quorum Deus venter est" (Encyklika Borromejska 1910). Podobne zdania o reformatorach szerzy wśród wiernych Catechismus Romanus (pars IV, cap. 15, quaest. 10).

Reformatorowi genewskiemu przypisano tyle nikczemnych i haniebnych czynów, że gdyby je rozłożyć równomiernie na stu ludzi, każdy z nich byłby typem „spod ciemnnej gwiazdy". Osoba Kalwina została „odmalowana" tak czarnymi barwami, że w prostaczku musi wywoływać widmo diabła albo co najmniej mitycznej postaci z jednym okiem pośrodku czoła. Gorzej, że cudze winy przypisano właśnie jemu. Jedną taką „łatką" zajmiemy się w niniejszym artykule.

Ale czy warto odgrzebywać stare grzechy? Czy można to robić dzisiaj, kiedy najwyższy kapłan Kościoła rzymskiego z najwyższego miejsca, w chwili otwarcia drugiej sesji II Soboru Watykańskiego, przyznaje, że Kościół rzymski dopuścił się w przeszłości niejednego grzechu? Czy można to robić w czasach ekumenizmu, kiedy to nawet w „katolickiej Polsce" postępowe pisma katolickie pełne są „ekumenizmu" i wieści o ekumenicznych wydarzeniach? Czy nie naruszy to „nowego klimatu"?

Dr K. E. Skydsgaard, obserwator na II Soborze Watykańskim z ramienia Światowej Federacji Luterańskiej, stwierdza, że rzymski katolicyzm wstępuje z całą świadomością w nową epokę swojej egzystencji. Podobno Kościół rzymski znajduje się obecnie wyraźnie „in statu reformationis". Schemat o ekumenizmie, który był przedmiotem debat drugiej sesji soborowej, wskazuje na to, że w stosunku Rzymu do innych Kościołów zapanowała zupełnie nowa sytuacja. Piąty rozdział tego schematu wypowiada się za nieograniczoną wolnością religijną jednostek i grup, i zdecydowanie odrzuca każdy gwałt przeciwko sumieniu. Napawa to nas jak najlepszymi nadziejami, z drugiej jednakże strony uznanie Kościołów protestanckich w najlepszym razie tylko za „społeczności kościelne" wyraźnie wskazuje, jak sobie Watykan wyobraża ekumenizm.

Z radością notujemy również wysiłki postępowej prasy katolickiej w Polsce, zmierzające do polepszenia wzajemnego stosunku ludzi różnych wyznań. W granicach swoich możliwości robi ona wiele, ale w konfrontacji z przeszłością, i to nie bardzo dawną, o której nie potrafimy tak szybko zapomnieć, jest to jeszcze o wiele za mało, aby mógł zapanować „nowy klimat". Chętnie i z uznaniem kwitujemy gorliwość tej prasy w notowaniu ekumenicznych wydarzeń, ale zastanawia nas, że wypadki te nie dzieją się w Polsce i w Hiszpanii, lecz wyłącznie w krajach przesyconych protestantyzmem, a więc dzieją się właściwie z inicjatywy protestantów, a nie katolików. Oczekiwaliśmy, że „Tygodnik Powszechny" będzie w dalszym ciągu pogłębiać wśród swych czytelników znajomość nauki protestanckiej, jak to uczynił na jego szpaltach Emil Werner. Sądziliśmy również, że nieśmiała próba ks. dr Kazimierza Hofmana nowego katolickiego spojrzenia na Reformację i reformatorów będzie kontynuowana, ale nie zanosi się na to. Zastanawia nas i niepokoi fakt, że polska postępowa publicystyka katolicka potrafi w „Słowie Powszechnym" zdobyć się na artykuł „ekumeniczny", ale nie potrafi zdobyć się na szczyptę obiektywizmu i odrobinę wysiłku, aby postawić sobie i swym czytelnikom pytania, czy prawda, o którą jej chodzi, nie znajduje się przypadkiem po drugiej stronie. Apodyktyczne twierdzenie postępowej publicystyki „My (tj. katolicy) posiadamy prawdę!", jest grubo naiwne: od takiej pozycji daleko jeszcze do ekumenizmu. W takiej sytuacji, przy okazji czterechsetnej rocznicy śmierci Kalwina, musimy przypomnieć coś, co dotąd odwołane nie zostało, a bez czego nie może być „nowego klimatu": dysfamię reformatora genewskiego.

Nie trzeba zbyt wielkiego wysiłku, aby przekonać się skąd pochodzą farby z katolickiego obrazu Kalwina. Jedynym ich źródłem jest karmelita Hieronim Bolsec (zm. w 1584 r.). Z powodu przekonań reformacyjnych opuścił klasztor i udał się do Genewy. Długo w niej nie pobył. Bolsec był nie tylko nieprzejednanym wrogiem Kalwinowej nauki o predestynacji, ale i duchem niespokojnym. Rada miejska Genewy wyprowadzona wreszcie z równowagi poleciła mu 22 grudnia 1551 r. opuścić miasto. Kiedy zaś Bolsec w dalszym ciągu zakłócał spokój młodego obozu reformacyjnego, na wniosek samego Kalwina został wydalony ze Szwajcarii. Powrócił do rodzinnego Paryża i... na łono Kościoła rzymskiego. Stał się najzaciętszym wrogiem obozu reformacyjnego i Kalwina. Za życia reformatora genewskiego nie miał odwagi przeciwko niemu wystąpić. Dopiero 13 lat po śmierci Kalwina (1577 r.) wydał w Lyonie książkę „Histoire de la vie, moralité, doctrine, constance et mort de Jean Calvin", która stała się niewyczerpanym źródłem wszystkich niewybrednych inwektyw pod adresem reformatora. Bolsec twierdził między innymi, że Kalwin od młodości prowadził życie tak niemoralne, że jeszcze w rodzinnym mieście Noyon zo-

stał za sodomizm (!) skazany na karę śmierci, lecz w drodze łaski zamieniono mu wyrok śmierci na publiczne wypalenie pod pręgierzem na gołym ciele hańbiącego znaku.

Bolsec znał Kalwina osobiście. Mógłby zatem być świadkiem naocznym, ale nim nie był, ponieważ Kalwina w Noyon jeszcze nie znał. Toteż Bolsec powołuje się na pewien dokument, który widział u pisarza miejskiej rady w Genewie, niejakiego Berteliera. Zastanawia jednak, że tego dokumentu nikt inny nie widział, a co ważniejsze nikt z licznych wrogów Kalwina nie starał się go opublikować. Czyżby taki dokument nie istniał? Nie wydaje się. Owszem, Bertelier, który specjalnie w tym celu wyprawił się do Noyon, mógł od czcigodnych notablów miasta Noyon otrzymać dokument, który stwierdzał, że w ich miasteczku istotnie był za różne delikty moralne publicznie karany pod pręgierzem w 1550 r. pewien młody... ksiądz katolicki. Fakt ten stwierdza Le Vasseur, kronikarz miasta Noyon. Jasne, że wrogowie Kalwina nie mogli chlubić się takim dokumentem, ale Bolsecowi było łatwo „łatkę" katolickiego wikariusza przypiąć Kalwinowi, jakkolwiek ten od dawna przebywał już w Genewie. Nikczemną potwarz rzuconą na reformatora już dawno stwierdzili uczciwi badacze Derlicourt i Lefranc, a katolicki historyk Friedrich Wilhelm Kampfschulte (1831—1872) który po I Soborze Watykańskim przystąpił do starokatolików, w swym dziele „Johan Calvin, seine Kirche und sein Staat in Genf" (I 1868, II 1899) powiada, że do tak nikczemnej potwarzy nie warto było nawet powracać. My jednak przypominamy to dzisiaj, aby pokazać jakimi środkami walczono z Reformacja i z reformatorami. Wobec takich kalumnii nie od rzeczy będzie wspomnieć o ostatnich chwilach reformatora.

Kalwin był chorowity od wczesnej młodości. W liście do lekarzy w Montpelier wylicza kilka swoich dolegliwości. Przy słabowitym zdrowiu nie potrafił się oszczędzać. Sypiał mało, z powodu dolegliwości żołądkowych (bynajmniej nie z przyczyn ascetycznych!) jadał raz dziennie, pracował wiele, słowem zaniedbywał swoje zdrowie. Jeszcze za życia żony, z którą żył 9 lat w przykładnym małżeństwie, nie było tak źle, bo przezacna pani Idelety roztaczała nad mężem czułą opiekę jak nad dzieckiem, ale kiedy jej zabrakło w ciągu ostatnich 14 lat, musiało to przyspieszyć zgon wdowca. Kalwin umarł przecież w niespełna 55 roku życia.

Kalwin wstąpił na ambonę po raz ostatni 6 lutego 1564 r. Ku radości wszystkich przybył jeszcze kilka razy do kościoła na zwykłe zebranie piątkowe, ale siły szybko go opuszczały. W piątek 10 marca już nie mógł przybyć do kościoła. Tego dnia odwiedziło go w domu kilku kolegów. Zastali go siedzącego przy stole, z głową swoim zwyczajem wspartą na ręce. Podziękował za odwiedziny i wyraził nadzieję, że za dwa tygodnie znowu się z nimi zobaczy, a potem go już Bóg zabierze. Istotnie, po dwóch tygodniach, dnia 24 marca, zebrali się u Kalwina na tzw. cenzurze wszyscy duchowni genewscy. W trzy dni później prosił, aby go zaniesiono na ratusz, ponieważ chce pożegnać się z radnymi. Przez następne dwa dni brał jeszcze udział w posiedzeniach konsystorza i kongregacji. Podczas świąt wielkanocnych zaniesiono go na jego prośbę do kościoła. Wysłuchał kazania i z rąk przyjaciela, Teodora Bezy, przyjął Komunię świętą. 25 kwietnia spisał ostatnią swoją wolę. Jeszcze raz chciał udać się na ratusz, ale radni dowiedziawszy się o tym, sami pospieszyli do jego domu. Kalwin do każdego z nich przemówił i na pożegnanie każdemu podał rękę. Radni wśród łez opuszczali chorego. 28 kwietnia Kalwin pożegnał się z duchownymi i od tej chwili wśród wzmagających się bólów stale się modlił. Wielu chciało go widzieć, ale Kalwin nikogo więcej nie przyjął, twierdząc, że to zbyteczna strata czasu. 19 maja przeniesiono go z łoża na fotel, z którego po raz ostatni z pozostałymi duchownymi przyjął Komunię świętą. Po ukończeniu obrzędu jeszcze chwilę rozmawiał z kolegami, ale już ciężko oddychał. 27 maja stan jego zdrowia jak gdyby się polepszył, ale o godzinie 8 wieczorem pojawiły się nagle znaki zbliżającej się śmierci. Natychmiast posłano po Bezę, który przed chwilą opuścił przyjaciela. Nim nadbiegł z innymi jeszcze kolegami, Kalwin już nie żył. Obecni przy zgonie twierdzili, że umierający ani się poruszył, przymknął oczy i zasnął na wieki.

Zgodnie z życzeniem reformatora na jego grobie położono tylko zwyczajny głaz polny bez jakiegokolwiek napisu. Dziś nie wiemy, na którym miejscu złożono do wiecznego spoczynku ciało Kalwina.

RAFAŁ CZERNIŁŁOWICZ

List kardynała

Głośna sztuka Hochhuta „Namiestnik", gdziekolwiek bywa grana, wzbudza namiętne dyskusje nad polityką Stolicy Apostolskiej w czasie wojny). We Frankfurcie tymczasem toczy się proces 22 esesmanów z Oświęcimia. Papież Paweł VI w nowych oświadczeniach wybiela pamięć Piusa XII.*

W ostatnim czasie kapitalna publikacja wprowadziła nowy element do tej sprawy. Za zachodnioniemieckim przeglądem historycznym i lewicowym tygodnikiem rzymskim „Il Mondo", który przedrukował wiadomość w skrócie, wielki dziennik francuski, po uzyskaniu zgody prof. Jaeckla z uniwersytetu w Kolonii, autora tego odkrycia, opublikował pełny tekst listu kard. Tisserant, wysłanego 11 czerwca 1940 roku z Rzymu do ówczesnego arcybiskupa Paryża, kard. Suharda. Sam kard. Tisserant odbył niedawno konferencję prasową w związku z napisanym w swoim czasie listem, dziś odkrytym w głębi archiwów III Rzeszy, z następującą notatką Gestapo w Paryżu: „Oto dowód, że kard. Tisserant jest agentem aliantów".

Wprawdzie 11 czerwca 1940 roku nie istniała jeszcze sprawa „ostatecznego rozwiązania" problemu żydowskiego, która datuje się ze stycznia 1942 roku, ale Watykan doskonale wiedział o przeprowadzanej na rozkaz Hitlera wielkiej operacji rasistowskiej w zachodniej Polsce, zmierzającej do jej zupełnego zgermanizowania przez zastosowanie systematycznej deportacji i masowej eksterminacji polskich mieszkańców. W takiej chwili dygnitarz tej miary co kard. Tisserant niepokoił się już milczeniem papieskim i napisał do kard. Suharda: „Usilnie prosiłem u św. Piotra od początku grudnia o wydanie encykliki o obowiązku jednostki podporządkowania się nakazom sumienia, ponieważ jest to podstawowa zasada chrześcijańska". Oto pierwsza uwaga, która ustala fakt historyczny, godny zapamiętania.

W trakcie swej konferencji prasowej kard. Tisserant musiał sprecyzować: „Ponieważ moje pierwsze starania nie osiągnęły rezultatu, nie podnosiłem już tej kwestii", wbrew obawie proroczej, którą sformułował przed laty we wspomnianym liście: „Obawiam się, aby historia nie zarzuciła Stolicy Apostolskiej, że prowadziła wygodną dla siebie politykę i niewiele więcej". Byłoby rzeczą nie tylko niedelikatną, ale zupełnie niewłaściwą wykorzystać powyższe cytaty bądź do większego skompromitowania nieżyjącego papieża Piusa XII, który znajdował się na czele kurii, gdzie niewielu było ludzi o jasności sądu Tisseranta, bądź też dla dania upustu złośliwej radości przez podkreślanie dwuznaczności w celu skompromitowania rzymskiego Kościoła w owych tragicznych latach.

Trzeba by jednak życzyć sobie, aby Ojcowie Soborowi, podejmując jesienią 17 schemat (Kościół wobec wielkich problemów świata), usłyszeli bolesne słowa tego znamiennego listu i zrobili wszystko dla eliminowania z Kościoła ukrytego związku pomiędzy polityką a sprawami ducha. Gdyby bowiem te rzeczy nie były ze sobą tak ściśle związane, kard. Tisserant i inni z nim, zostaliby wysłuchani.

Tłum. z franc. St. Br.

*) Artykuł ukazał się w jednym z ostatnich numerów genewskiego tygodnika „La Vie Protestante".

Ks. BOGDAN TRANDA

KAZNODZIEJA u oczach młodego słuchacza

Gdy kaznadzieja staje na kazalnicy wobec swego audytorium, musi zadać sobie pytanie, czy praca jego jest skuteczna, mianowicie, czy znajduje u słuchacza właściwy odbiór. Zwykle jednak tego nie wie i musi orientować się według jakichś drugo, czy trzeciorzędnych oznak, czasem wręcz fałszywych, lub fałszywie interpretowanych. Najczęściej więc pytanie takie, jeśli nawet postawione, pozostaje bez odpowiedzi i kaznodzieja nie orientuje się w sytuacji. Słuchacze zaś albo milczą, albo wypowiadają parę zdawkowych pochlebnych uwag, a rzadko zdarza się to, co należałoby ogromnie cenić, mianowicie, żeby słuchacz przyszedł do kaznodziei i poddał jego kazanie rzeczowej, a życzliwej krytyce, czy przynajmniej wypowiedział swoje własne, lub zaobserwowane problemy, wymagające odpowiedzi ze strony kaznodziei.

Sytuacja kaznodziei jest więc bardzo trudna, gdy zważymy, że w ogromnej większości przypadków musi stawać raz, lub kilka razy w tygodniu na eksponowanym miejscu i przemawiać na temat spraw, co do których ma przekonanie o ich niezwykłej doniosłości. W takich warunkach poczucie odpowiedzialności może być nawet hamulcem, utrudniającym kontakt ze zborem.

Należałoby zapytać, czy duchowni szukają świadectw odbioru u swoich słuchaczy. Pytanie to nie jest błahe, ponieważ z wielkim prawdopodobieństwem można założyć, że główną przyczyną braków w kazaniach jest nieznajomość materiału, jeśli się tak można wyrazić, nad którym kaznodzieja pracuje. A czyż można sobie wyobrazić człowieka, który by nie chciał oglądać wyników swojej pracy? Nie darmo syzyfową zwana jest praca bez rezultatu.

Dlatego rzeczą niezbędną stało się dostarczenie kaznodziei koniecznych danych do stałego kontrolowania samego siebie i korygowania błędów, które tworzą pustkę pomiędzy nim a audytorium. Jeżeli szczęśliwie zdarzy się — a wiemy, że tak jest — że poszczególni kaznodzieje trafiają do szerokiego grona wiernych, co więcej, że budzą zainteresowanie młodzieży i zyskują jej uznanie, to dzieje się tak dzięki ich osobistym zdolnościom. Wiadomo jednak, że na samych zdolnościach daleko zajechać nie można. Podobno Paderewski zwykł mawiać, że sukcesy swe tylko w 10% zawdzięcza talentowi, a reszta to praca, praca. Aby móc jednak pracować skutecznie, trzeba mieć rozeznanie materiału.

Zagadnienie tu poruszone jest już od dłuższego czasu przedmiotem rozmów, dyskusji i zaczyna być przedmiotem studiów. Dojrzało ono już do poważnego potraktowania. Problem jest szczególnie żywy wśród młodzieży, z natury wrażliwej, która nie łatwo godzi się z istniejącymi brakami.

Stwierdzono bardzo duże zainteresowanie tym tematem wśród młodzieży, stwierdzono, że jest to jeden z newralgicznych punktów stosunku młodzieży do Kościoła. Choć mało jeszcze zebrano konkretnego materiału, uzyskano szereg pożytecznych danych, które postaramy się tutaj możliwie zwięźle i wiernie zreferować w przekonaniu, że spełnią one pozytywną rolę i względem kaznodziejów, i ich słuchaczy. Jednym i drugim dadzą materiał do przemyślenia i ułatwią wypowiedzenie się. Redakcja Młodej Jedności, a zwłaszcza Komisja Młodzieży przy Polskiej Radzie Ekumenicznej będzie bardzo wdzięczna wszystkim, którzy zechcą się wypowiedzieć czy to w formie listu, czy artykułu.

Problem jest na wskroś ekumeniczny, jako powszechnie odczuwana bolączka. W różnych wyznaniach rozmaite znaczenie przywiązuje się do kazania. Dla jednych jest ono sprawą drugorzędną, dla innych sprawą równorzędną z liturgią, a dla jeszcze innych niemal jedyną formą religijnego kultu. Wszyscy jednak odczuwają, choć z niejednakową siłą, i doceniają wagę zagadnienia. Formułują też bardzo podobne wnioski, nawet jeśli wychodzą z różnych założeń.

Szereg postulatów młodzieży, dotyczących kaznodziei, wydawać się może truizmem. Widać jednak młodzież obserwuje u swych duchownych zjawiska, które łamią podstawowe zasady sztuki kaznodziejskiej. Oto na przykład taka uwaga: kazanie musi przekazać jedną, konsekwentnie rozwiniętą myśl, przy czym mówca nie powinien ciągle powtarzać się, formułując to samo coraz innym zespołem słów. Młodzież oczekuje, że kaznodzieja będzie emocjonalnie zaangażowany w to, co mówi, i nie będzie naginał pojęć biblijnych do sytuacji, ale będzie interpretował poszczególne wydarzenia codzienne (małe i duże) przy pomocy biblijnych pojęć. Razi uciekanie od tematów drażliwych. Oczekuje się od kaznodziei odważnego podejmowania problemów, ale problemów realnie istniejących. Tyle co do treści; natomiast — co do formy — młodzież formułuje swoje spostrzeżenia w następujący sposób. Długość kazania winna być dostosowana do poszczególnego środowiska, ale najłatwiej przyswajalne są przemówienia w granicach 15—20 minut, przy czym środowiska miejskie potrzebują raczej kazań krótszych, bardziej zwartych. Rażą nie tyle błędy językowe, ile używanie słów i określeń wytartych, razi nadużywanie „wielkich słów" i wyrażeń już nie używanych, a często zapożyczonych z języka biblijnego, który był właściwy dla wieku XVII; wyrażenia te wyszły z użycia, lub zmieniły swój zakres pojęciowy. Razi wygłaszanie pojęć i norm oczywistych jak i pustych. Są to, jak wspomniano, truizmy, ale warto pod tym kątem przyjrzeć się wygłaszanym, a nawet drukowanym kazaniom. Młodzież obserwuje swojego kaznodzieję i oczekuje od niego właściwej postawy. Nie tylko gdy spełnia swe obowiązki duszpasterskie, ale także w życiu codziennym znajduje się on na świeczniku. Wypowiedziano też bardzo znamienną uwagę, że kaznodzieja powinien dobrze znać swych parafian, a więc powinien żyć z nimi na codzień. Widać młodzież wyczuwa potrzebę

duchowego i bezpośredniego z nim kontaktu, co należy bardzo cenić. Chce ona widzieć w nim albo przyjaciela-kolegę, albo przyjaciela-autorytet, przy czym jedno drugiego nie wyklucza, ale zachodzić musi przynajmniej jedno.

Na zainteresowanie młodzieży tym, co słyszy z kazalnicy, wpływają również czynniki pośrednio wiążące się z samym kazaniem, mianowicie cały przebieg nabożeństwa, w szczególności zaś pieśni, odpowiednio dobrane pod względem słów i melodii. Teksty wielu pieśni zupełnie nie odpowiadają mentalności, usposobieniu młodzieży, ich puste, czy napuszone słowa, przewlekłe melodie pozbawiają nabożeństwo bardzo ważnego czynnika mobilizującego. Młodzież chce śpiewać pieśni prawdziwe w treści i o żywej melodii.

Na psychikę współczesnego człowieka oddziaływują dziś bardzo silne czynniki, związane z całą gamą współczesnych środków przekazywania, jak radio, telewizja, prasa, kino itd. W takich warunkach kazanie, wygłoszone w tradycyjnej formie, nie zdoła wzbudzić pożądanego zainteresowania. Młody człowiek będzie słuchał z uwagą tylko wtedy, gdy dotknie spraw jego życia, które go bezpośrednio, lub pośrednio dotyczą. Kazanie nie może więc być swego rodzaju rytuałem oderwanym od różnych dziedzin życia zborowego i problemów, z jakimi borykają się wierni.

W związku z odczuwaną przez młodzież potrzebą gromadzenia konkretnego materiału (potrzeba zdrowej teologii dla świeckich!), zasobu argumentów, tematu do rozmyślań (np. odpowiedzi na zagadnienia stawiane przez cykl artykułów Kosidowskiego o Biblii, drukowanych w „Dookoła Świata" a ostatnio wydanych w książce „Opowieści Biblijne") konieczne staje się organizowanie innych form podawania tego materiału, poza samym kazaniem. Chodzi o spotkanie odczytowo-dyskusyjne, lub „studia" szczegółowych zagadnień, o tematach żywotnych, zmuszających do mówienia.

Najbardziej zmusza do myślenia to, w stosunku do czego trzeba zająć własne stanowisko i bronić go. Stąd pochodzi dużo silniejsze oddziaływanie dyskusji, niż odczytu. Dyskusja, w której uczestniczyć powinien ogół zebranych, a nie tylko jednostki bardziej „wygadane", nie musi prowadzić w efekcie do zgodnej konkluzji, ale ważne jest, aby jednakowe i zgodne z zasadniczą postawą chrześcijanina zdanie miały osoby, cieszące się zaufaniem młodzieży.

Na zakończenie podamy pytania, aby czytelnicy MJ mogli na te tematy się wypowiedzieć. Odpowiedzi, przesłane przez Czytelników, dadzą nam bardzo ważny materiał do opracowania.

1. Czy słuchane przeze mnie kazania dają materiał do przemyślenia?
2. Czy pomagają w rozwiązywaniu konfliktów:
   a) osobistych,
   b) grupowych, społecznych?
3. Czy kazania powinny dawać materiał:
   a) teologiczny,
   b) apologetyczny,
   c) inny — jaki? — a może brak nam innej formy, poza kazaniami, przekazywania tego rodzaju materiału?
4. Jeżeli słucham kazania z zainteresowaniem, jakie elementy pobudzają moją uwagę?
5. Jeżeli nie wzbudzają mojego zainteresowania, jakie elementy są tego przyczyną, jakie utarte zwroty są dla mnie pozbawione treści?

WALTER LÜTHI

KAROL BARTH

Karol Barth urodził się 10 maja 1886 roku w Bazylei (Szwajcaria). Wychowywał się w Brnie, gdzie ojciec jego przez 12 lat był profesorem teologii. Następnie Barth pełnił urząd pastora w parafii Safenwil, kt. Argau, potem powoływano go na kierownika katedry teologii systematycznej, kolejno do Getyngi, Münsteru i do Bonn w Niemczech; a od 1935 roku (w Niemczech wzmagający się reżim hitlerowski — przyp. tłum.) przebywał stale w swej rodzinnej Bazylei. Obecnie końca dobiega praca nad tworzeniem życiowego dzieła, kompleksowego wykładu dogmatyki kościelnej, które, jeśli Bóg pozwoli, doprowadzi do końca.

Dla zwykłych członków zboru nie powinno być rzeczą obojętną, kim naprawdę jest ten człowiek, który w ciągu całej generacji, w sposób tak szczególny, jak tylko Barth zwykł to czynić, uczy nowe pokolenie pastorskie. Chrześcijański Zbór dziękuje Bogu za tego nauczyciela Kościoła i nie jest to tylko formą wyrażenia niezobowiązującej grzeczności. Właśnie Zbór powołany jest do tego, na podstawie Biblii, aby ogarniać gorącą modlitwą przyczynną, nie wyłączając świeckiej zwierzchności, także swoje sługi Słowa; a w tym świetle, jakże szczególnie doniosłe staje się to apostolskie napomnienie do modlitwy, również za profesorów akademickich, którzy przecież przygotowują Kościołowi przyszłych predykantów (tzn. kaznodziejów). Nie chodzi również wcale o to, by tylko w ludzki lub w przesadnie ludzki sposób oddać chwałę człowiekowi, który w całym swoim życiu miał już przecież nie jedną sposobność „we wszystkich rzeczach przedstawić się i ze złej i dobrej strony, jako sługa Boga". A przecież każdy nauczyciel chrześcijański nie chce brać chwały od ludzi, przede wszystkim dlatego, że jest dlań rzeczą nieporównanie droższą, by okazał się wiernym szafarzem tajemnic Boga: „Nauczyciele lśnić będą, jak światłość nieba, a którzy dla wielu sprawiedliwość wskazują, będą zawsze, jak gwiazdy wieczne" (Dan. 12. 3 — wg tekstu niem.).

W. LÜTHI: „...Oddaliliśmy się od nieba i w zupełnie fałszywy sposób skierowaliśmy oczy na ziemię."

Niniejsza próba rzeczowego — ale jednocześnie zrozumiałego dla szerokiego ogółu — przedstawienia dzieła Karola Bartha, musi z konieczności ograniczyć się do ukazania jego sylwetki tylko jako: **odkrywcy, badacza** i **wyznawcy.**

ODKRYWCA

A więc przyjmijmy z góry: o nic innego nie chodziło nam wówczas,

jak tylko o niebo! Tamto pokolenie z przełomu stulecia oraz my z lat 1914/18 utraciliśmy niebo. Oddaliliśmy się od nieba i w zupełnie fałszywy sposób skierowaliśmy oczy na ziemię. Opanował nas jakiś osobliwy wstyd! Wstydziliśmy się nieba, wstydzililiśmy się naszego chrześcijaństwa, Kościoła, naszego stanu pastorskiego i teologicznego. Właściwie, to wszyscy razem najchętniej zachowalibyśmy się w taki sposób, jak postąpił wówczas Albert Schweizer, który zawiesił swój urząd pastorski na kołku i rozpoczął studia medyczne. Służba Słowem Bożym w takiej była wówczas pogardzie, jak nigdy dotąd, i co gorsza, samiśmy byli bliscy pogardy wobec niej. Jasna rzecz — Nietzschego wtedy nie uznawaliśmy, lecz w końcu i jemu także przyznawaliśmy trochę racji, wszyscy ostatecznie mają nieco racji, ale zupełnej racji nie miał nikt, a myśmy szukali Prawdy i szukaliśmy wszędzie — tylko nie w niebie. Szukaliśmy, aż po widnokrąg, wypatrując oczy i wszystko, cośmy znaleźli w czterech stronach świata szukając, wszystko było trochę prawdziwe, lecz nic nie było prawdziwe w pełni.

Ulegaliśmy więc, choć oczywiście w poważny sposób, przeróżnym prawdom. Co się zaś tyczy tego, że istnieje odpowiedź na stare pytanie Piłata („Cóż jest prawda?"), to straciliśmy zupełnie nadzieję. I w tej sytuacji pojawił się Karol Barth i zaczął mówić. Lecz nie mówił nam o wielu prawdach (tych mieliśmy już więcej niż dość!), mówił nam tylko o jednym — o niebie. To Barth ustawił nas tak, żebyśmy przestali zezować ukradkiem do tyłu, lecz zaczęli patrzeć do przodu. „Pionowo z góry" lub „z góry na dół" (Senkrecht von oben) było wówczas jednym ze słów, które usłyszeliśmy od Bartha. A także: „Bóg to Ten inny", „Ten całkowicie inny" (der ganz andere). Taki też był jego wykład listu do Rzymian (Römersbrief), który na nas, podówczas młodych studentów, oddziałał jak epokowe odkrycie. I zaprawdę, to nie był tylko błysk, pokazanie jakiegoś mniej lub bardziej ważnego szczegółu, to nie było także odkrycie którejś części świata, to było niebo, które nam zostało odkryte, odkryte powtórnie. Język tego wykładu listu do Rzymian był potężny, wyzywający i zarazem kojąco jednoznaczny (na brak wieloznaczności nie mogliśmy dotąd narzekać!).

Ale wtedy szydzono z osobliwego pastora z Safenwil, iż reprezentuje teologię inflacji. Tak, to prawda, w Niemczech oraz w innych krajach szerzyła się wówczas inflacja pieniądza. Natomiast zachodniemu ewangelickiemu chrześcijaństwu groził upadek wskutek inflacji wiary i powszechnego relatywizmu. Bardzo trudno dzisiaj osądzić, jak potężnie oddziałało wówczas na nas słowo, gdyśmy usłyszeli to pełnomocne poselstwo, że mamy „skarb w niebie".

„...w tej sytuacji pojawił się KAROL BARTH i zaczął mówić... mówił nam tylko o jednym — o niebie ."

BADACZ

„Bóg jest w niebie a my ludzie jesteśmy na ziemi". To był punkt wyjściowy Bartha do dalszej pracy badawczej. Nasze pokolenie przywykło już do tego, żeby, gdy mowa o badaniach, myśleć o technice lub o badaniach przyrodniczych. W umyśle człowieka XX wieku, ten właśnie typ pracy jest zarezerwowany dla „mądrych głów". W książce i w filmie wyśpiewano już całe hymny na cześć ludzi właśnie tego typu, co Edison, Pasteur lub małżonkowie Curie. Jaki potężny wysiłek ze strony ludzi, nie wyłączając narażenia zdrowia i życia, towarzyszy badaniom tajemnic atomu?

Ale oto nagle dzieje się rzecz szczególna; pojawia się badacz, również w wielkim stylu, który swoją wolę i rozum, czas i życie poświęca służbie badania nieba. Z pieczołowitością badacza atomu robiącego pomiary długości i wagi, z ostrożnością budowniczego, który przystępując do wznoszenia mostu betonowego lub elektrowni, rozpoczyna od obliczeń, Barth postąpił identycznie, świadom będąc tego, że najmniejszy nawet błąd może sprowadzić nieprzewidziane skutki, i dlatego właśnie z całą powagą przystąpił do badania „tajemnicy bóstwa", wiedząc aż nadto dobrze, że w tej dziedzinie nierozwaga może doprowadzić do ruiny większej, niż ta, która powstaje wskutek zawalenia się mostu. Niezmordowany Barth w tym celu przemierza z odwagą z końca do końca — trawiony pasją badania — 66 Ksiąg Starego i Nowego Testamentu. A może znalazłby się ktoś chętny, kto chciałby zobaczyć kiedyś te egzemplarze Biblii, które Barth wertując dniami i nocami, przez dziesiątki lat, „wyczytał" do szczętu? Od nowa przemierza granice Kościołów chrześcijańskich, na przestrzeni ich dwudziestu wieków życia i uważnie, w pełni odpowiedzialności przed Bogiem, słucha, co Bóg przez Ducha Świętego objawił ludziom tamtych czasów oraz jaką postawę zajęli ludzie na gruncie darowanego im poznania wiary, i jaką dali odpowiedź na temat Boga-Stwórcy, paruzji Chrustusa (tj. powtórnego przyjścia — przyp. tłum.) albo tajemnicy Bożego wybrania (elekcji). W ten sposób przez wnikliwe wsłuchiwanie się w świadectwo Biblii, a także wykład Biblii przez Kościół, powstało i w dalszym ciągu jest w trakcie tworzenia monumentalne dzieło: „Dogmatyka kościelna" (nazwana Summą Bartha — przyp. tłum.). Kto zatem spróbuje, rzecz jasna z pewnego dystansu, udać się śladem Bartha, ten z pewnością pokocha Biblię, pokocha także Kościoły naszego stulecia i nie wyłączając Kościoła w osobach jego ziemskich przedstawicieli, pokocha także niebiańskie hufce, świętych, doskonałych a także i — anioły; i co się tyczy tych ostatnich, to Barthowi dano wiele poznać!

Ale kto kocha naprawdę niebo, ten rychło pozna, jak się zaraz o tym przekonamy, że kocha naprawdę ziemię; ponieważ Ten (Bóg — przyp. tłum.), który w najgłębszym sensie zachowuje świat, jest w niebie.

WYZNAWCA

Niejednokrotnie zdarza się nam mieć do czynienia z typem uczonego, który z najwyraźniej dostrzegalną wobec otoczenia powściągliwością zamyka się w swojej pracy, jak w wieży z kości słoniowej.

W przypadku Bartha byłoby to rzeczą uzasadnioną względami i porządku i nakładu pracy, które przecież z istoty rzeczy są niezbędne przy tworzeniu jego ogromnego życiowego dzieła. Tymczasem, jeśli tego wymaga potrzeba, nie czeka ona ani chwili, ale otwarcie występuje na forum Kościoła lub przed światem, i wyraźnie określa swoje stanowisko wobec problemów kościelnych, kulturalnych i politycznych. Dzięki tej postawie niezaprzeczalny jest jego wkład — bezpośredni i czynny — w walkę Kościoła Wyznającego w Niemczech; a po powrocie

do Szwajcarii Barth staje się czołową osobistością — na skalę europejską — frontu do walki przeciw Hitlerowi (rzecz jasna na gruncie kościelnym — przyp. tłum.). O jego ogromnej i wielostronnej korespondencji, kierowanej przez wszystkie granice w ciągu dwunastu lat panoszenia się narodowego socjalizmu, świadczy okazałe „dzieło" zebrane w tomie „Eine Schweizer Stimme" (Głos Szwajcara).

Od momentu zakończenia wojny Barth należy do tych, którzy konsekwentnie ostrzegają przed zbyt uproszczonym przedstawianiem problemu Wschód — Zachód, wyłącznie w kolorze czarno-białym. W związku z tym dwukrotnie wypowiadał się przeciw remilitaryzacji Niemiec.

Istotnie jest on „profesorem", co dosłownie oznacza „wyznawcę". Postawa Bartha w pierwszym rzędzie nie wynika z jego usposobienia, temperamentu lub narodowości, lecz opiera się bezpośrednio na jego teologii. Wiara i życie, tak jak je pojmuje Barth, nie powinny i nie mogą pozostawać w oderwaniu od siebie, ponieważ pochodzą ze wspólnego pnia.

A więc i wyznanie wiary, to także nie tyle sprawa jakiegoś duchowego ustroju, lecz jest to określona postawa. A jeśli w wypowiedziach Bartha na różne tematy daje się zauważyć coś w rodzaju postawy nieobywatelskiej, jest to zapewne wynikiem przekonania, że sam Bóg w Jezusie Chrystusie „skłonił się w dół" i dał temu wyraz. Stąd też z pewnością nie był to żaden „wybryk" ze strony Bartha, lecz już wówczas wynikająca z rzeczowych przesłanek konieczność, kiedy jako jeszcze młody pastor, należący jednak do grona nielicznych, którzy rozumieli wielką i nierozwiązaną kwestię robotniczą, zrobił zdecydowany krok wstępując do partii socjaldemokratycznej. Jego otwarta postawa wobec świata i jego znajomość spraw świata, o czym możemy się przekonać studiując choćby książkę „Teologia protestancka XIX wieku", które też każą mu wyżej cenić Mozarta niż Bacha sprawiają, iż powodów tej decyzji nie należy szukać w chorobliwym „rozszerzeniu" serca, również nie należy jej tłumaczyć „zdrowym" liberalizmem, ponieważ klucz do niej znajduje się w wierze opartej na mocy łaski Chrystusa, że Bóg w Chrystusie kocha ś w i a t !

W końcu, to także jest bardzo charakterystyczne dla Bartha-wyznawcy, że dzięki wierze w ostateczne zwycięstwo Chrystusa, mając poczucie nietykalności, może śpiewać, skakać i śmiać się! A to, co kiedyś napisał Mikołaj Gogol o dziele swojego życia, w równym stopniu można by odnieść do Bartha: „Cały mój wysiłek zmierza do tego, żeby każdy, kto przeczytał moje dzieła, mógł z całego serca — śmiać się z diabła". Kto zatem we wszelkim trudzie odkrywania, badania i wyznawania żyje tak wyłącznie z łaski Chrystusa, ten może śmiać się wesoło.

Tłum. Mieczysław Kwiecień

Walter Lüthi jest powszechnie znanym pastorem reformowanym, działającym przy katedrze berneńskiej (Münster) i uważany jest za jednego z najwybitniejszych kaznodziejów i duszpasterzy szwajcarskich ostatnich czasów. Jest autorem szeregu kazań i wykładów biblijnych, opracowanych głównie dla szerokich rzesz odbiorców. A oto niektóre tytuły: „Twoja niedziela", „List do Rzymian", „Ojcze nasz", „Dziesięć przykazań Bożych", „Wieczny rok" — kazania na dni powszednie roku. Do dziś 63-letni pastor Lüthi (ur. w 1901 r.), wspólnie z prof. Ed. Thurneysenem wydaje bardzo popularne zeszyciki „Basler Predigten". Zebrane w swoich książkach, bardzo biblijne kazania, Lüthi opracował systemem „lectio continua" (wykłada rozdział za rozdziałem, kolejno), a tę metodę przypisać należy najczystszej kalwińskiej tradycji. Niniejszy artykuł o Karolu Barcie, autor umieścił w książce „Was die Welt zusammenhält", Bazylea, 1957. Przekład artykułu Waltera Lüthiego został sporządzony na prośbę Redakcji.

Wojciech WRZOS

BIBLIA PO ŚWIECKU

Na Zachodzie już od dawna cieszą się wielkim powodzeniem nowoczesne przekłady Pisma Świętego na język niemiecki, francuski i angielski. Jeszcze większym wzięciem cieszą się literackie parafrazy Biblii wydawane w formie powieści. U nas zrobił to ostatnio Zenon Kosidowski. Państwowe Wydawnictwo „Iskry" wydało z początkiem tego roku jego „Opowieści biblijne" w nakładzie 50 tys. egzemplarzy. Zostały one rozchwytane dosłownie w ciągu kilkunastu godzin.

Autor postawił sobie za cel zapoznanie czytelnika z treścią Starego Testamentu. Starsze pokolenie pamięta zaledwie wybrane fragmenty tej księgi, a pokolenie dzisiejsze, wychowane w duchu laickim, o Biblii chyba już nic nie wie. Przekład Wujka, a nawet i nowocześniejszych tłumaczy, przez swój archaiczny język nie zachęca przeciętnego człowieka do lektury Biblii, a ludzi o przekonaniach racjonalistycznych odstrasza mniemanie, że jest to księga sakralna, pełna sędziwych mitów i przepisów rytualnych. Tymczasem za sprawą nauki dokonał się proces rewindykacji Biblii jako dokumentu świeckiego, zawierającego niemały ładunek wiadomości historycznych.

Taki jest cel autora. Cel zaiste piękny i chwalebny. Autor parafrazując tekst biblijny stara się podać go w sposób jak najbardziej komunikatywny, aby dzisiaj czytelnik mógł go odczytać bez wysiłku i skupić uwagę na samej wartości jego treści. Kosidowski oparł się na zmodernizowanym przekładzie Wujka, który tak zachwycał Mickiewicza, Słowackiego i Sienkiewicza. W wypadkach, kiedy fabułę można uzupełnić, ubarwić czy ożywić informacjami uzyskanymi dzięki odkryciom archeologicznym, Kosidowski nie zawahał się tego uczynić.

Autor trzyma się istotnie dość wiernie biblijnego tekstu. Parafrazowanie Biblii udaje mu się jednakże tak długo, póki same księgi noszą charakter narracyjno-gawędziarski. Dotyczy to szczególnie okresu patriarchów, a więc Pięcioksięgu Mojżeszowego. Parafraza zaczyna kuleć w księgach nauczających, a już całkowicie zawodzi w księgach prorockich, przechodząc stopniowo od streszczenia do suchego wykładu dziejów Izraela, doprowadzonych aż do 135 r. po Chr., tj. do powstania Bar-Kochby. Parafraza nabiera znowu rumieńców i życia w księgach, które zdaniem autora zawierają budujące opowieści ludowe, przypominające arabskie opowieści o Sindbadzie Żeglarzu czy nawet „Baśnie z tysiąca i jednej nocy" (str. 341).

Nie powinno nas wobec tego zaskoczyć, że Kosidowski obok apokryficznej księgi Judyty stawia kanoniczną księgę Estery, a obok apokryfu Tobiasza — wspaniałego biblijnego Hioba i apokaliptycznego Daniela, którego bez słowa wyjaśnienia uzupełnia apokryficznym pikantnym dodatkiem o cnotliwej Zuzannie, aby wreszcie swoje dzieło zakończyć parafrazą kanonicznej księgi Jonasza. Skoro Kościół rzymskokatolicki zaliczył do swojego kanonu księgi apokryficzne, to dlaczegóż by w katolickiej Polsce nie mógł tego zrobić nawet racjonalistycznie nastawiony pisarz?

Nie trzeba wielkiego kunsztu literackiego, aby „opowieści biblijne" podać w formie zbliżonej do gawęd amerykańskiego murzyńskiego pastora Roarka Bradforda. „Murzyński Pan Bóg i panowie Izraelici" jako forma amerykańskiego humoru jest naprawdę O.K. Kto wie, czy nie te właśnie walory decydują o poczytności książki Kosidowskiego. Gdyby Kosidowski ograniczył się tylko do literackiej parafrazy Biblii, jak to przed laty zrobił dostojnie czeski pisarz Iwan Olbracht i wielu innych, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale Kosidowski ma aspiracje naukowe. „Może ulegam złudzeniu, — powiada sam o so-

bie — ale uważam siebie za pisarza, który za tworzywo artystyczne obrał sobie po prostu epopeję zdobyczy naukowych (...) Książki moje zalicza się zwykle do kategorii popularno-naukowych. Nie uchybiając tej skądinąd pożytecznej dziedzinie, muszę wyznać, że moje ambicje sięgają dalej". Autor najwidoczniej pozazdrościł sławy i poczytności Wernerowi Kellerowi, którego książka „A jednak Pismo Święte ma rację" została wydana w wielu przekładach nie wyłączając polskiego (Warszawa, Pax 1959). Książki tego pokroju rodzą się w ostatnich czasach jak grzyby po deszczu. Nie tyle o naukę w nich chodzi, ile właśnie o „epopeję zdobyczy naukowych".

Krytyka historyczna i lingwistyczna poparta odkryciami archeologicznymi pozwoliła ustalić, że nie wszystko w Biblii jest legendą i fantazją. W tym przebogatym zbiorze opowieści, baśni, liryk, psalmów i natchnionych proroctw lud Izraela wniknął w najtajniejsze głębie ludzkiej natury i postawił śmiało pytanie dotyczące sensu życia. Jako świętą księgę natchnioną przez Boga bronił ją od „zakusów" nauki swoisty immunitet zawarowany rygorami instytucji kościelnych. Próby krytycznego spojrzenia na tekst biblijny pod kątem lingwistycznym czy historycznym poczytywano długo za świętokradztwo i zamach na wierzenia religijne. Aż do połowy ubiegłego wieku pozostawała ona domeną zastrzeżoną tylko dla teologów. Odarta z aureoli jedyności przestała być fenomenem nadzwyczajnym i niepowtarzalnym. Okazała się jednym z wielu przejawów ludzkiej tęsknoty za prawdą, a podłożem, z którego wyrosła, były normalne procesy psychologiczne i socjalne, jednakowe u ludów wszystkich kontynentów bez względu na rasę, język i kulturę.

Takie jest założenie autora „Opowieści biblijnych". W książce liczącej 347 stron (nie biorąc pod uwagę tablicy chronologicznej, bibliografii i indeksu-leksykonu, opracowanego przez Bogdana Kupisa) same „opowieści biblijne" zajmują tylko 182 strony, pozostałych 165 stron to aparat krytyczny. Autor nadał swej książce kompozycję dwutorową. Po każdym z 9 rozdziałów „opowieści" następuje krytyczny komentarz, w którym autor podaje wyniki badań lingwistyczno-historycznych i archeologicznych. Mrówczą pracą zebrał z dzieł archeologów angielskich i amerykańskich sporo ciekawego materiału porównawczego i dowodowego. O studiach lingwistycznych i filozoficznych w książce Kosidowskiego oczywiście nie ma mowy.

Uderza, że autor ani słowem nie wspomina teologii protestanckiej jak gdyby jej w ogóle nie było, jakkolwiek jako tako oczytany człowiek wie, że bez niej jest nie do pomyślenia krytyka biblijna. Dla Kosidowskiego istnieje tylko „nauka" i „uczeni". Posłuchajmy, co sam o tym mówi. „Uczeni zajmujący się naukowo badaniem tekstu biblijnego wypracowali sobie nową dziedzinę wiedzy, zwaną **krytyką biblijną, którą podzielono na niższą i wyższą.** Krytyka niższa trudni się ustaleniem możliwie autentycznego tekstu przez wykrycie pomyłek kopistów i tłumaczy. Nas interesuje raczej krytyka wyższa, gdyż dzięki jej rewelacyjnym wnioskom dowiedzieliśmy się, czym w istocie rzeczy jest Stary Testament. **Pionierami tej nowej dziedziny badawczej byli między innymi Strauss, Renan i Wellhausen.** Nienaganna logika ich metod lingwistycznych, doprowadzonych do zdumiewającej finezji, przemogła w końcu opór dogmatystów i nawet Kościół katolicki musiał ustąpić (str. 6. Podkreślenia moje).

Strauss, Renan i Wellhausen, którego Kosidowski na innym miejscu (str. 55) nazywa ostrożnie „niemieckim uczonym", znaleźli się w jednym towarzystwie. O innych „pionierach" i „uczonych" Kosidowski prawpodobnie nie słyszał, albo udaje, że nie wie o ich egzystencji. W spisie bibliograficznym, obejmującym 75 pozycji wyłącznie angielskich dzieł archeologicznych, tu i ówdzie „okraszonych" katolickimi broszurkami spod „Znaku", najwidoczniej tylko przez pomyłkę dostał się jedyny teolog, Antoni Jirku. W tekście (str. 130) Kosidowski powołuje się (ale w bibliografii go nie wymienia!) jeszcze na „niemieckiego uczonego orientalistę" A. Alta.

Kosidowski nie słyszał dotąd o protestanckiej liberalnej teologii, nic nie wie o szkole historyczno-krytycznej, ani o szkole religijno-historycznej, pojęcia nie ma o szkole dziejów formy i o współczesnej protestanckiej hermeneutyce (interpretacja tekstu) biblijnej. A dobrze by było, gdyby przeczytał sobie chociażby Kurta Frora „Biblische Hermeneutik" (Munchen 1961, stron 397). Kosidowski również nie wie, że analizą krytyczną Pisma świętego zajmowali się ludzie jeszcze przed Straussem i przed „uczonym" Renanem (por. H.J. Kraus: Geschichte der historisch-kritischen Erforschung des Alten Testaments der Reformation bis zur Gegenwart, 1956). A ze Kosidowski tego wszystkiego nie wie, musi zatem mówić o jakiejś „niższej" i „wyższej" krytyce. Nie zdając sobie z tego sprawy idzie śladami zeszłowiecznego liberalizmu protestanckiego i zajmuje pozycje, które teologia protestancka już dawno opuściła.

Wiele odkryć i spostrzeżeń, które Kosidowski skrzętnie zebrał z dzieł archeologicznych, jest naprawdę godnych uwagi. Stwierdzić jednak należy, że fachowcy (chociażby Martin Noth) w wielu kwestiach zajmują diametralnie odmienne stanowisko. Nie ulega wątpliwości, że Izrael, jak każdy inny naród w świecie, nie żył w próżni i w izolacji od innych narodów, których mity i wierzenia religijne musiały oddziałać na religijny świat Izraela. W Biblii pozostały tego liczne ślady (por. Gerhard von Rad: Theologie des Alten Testaments, I 1957, 166 — II, 1960, 350 i 361. Sigmund Mowinckel, RGG 3. wyd. 1960, IV, 1276).

Nie tylko Stary Testament, ale i Testament Nowy przejmuje wiele materiałów ościennego świata (stąd postulat demitologizacji w teologii R. Bultmanna) i używa ich jako środka dla swojego zwiastowania, ale samego mitu nie zwiastuje. Mity zostały zaprzągnięte do służby słowa i zwiastowania. Jeżeli tej funkcji nie pełnią, są najostrzej zwalczane (1 Tym. 1,3; 4,7; 2 Tym. 4,3; Tyt. 1,13; 2 Piotr. 1,16. Por. Theol. Wörterbuch zum NT, IV, 1938—1942, 788). W Starym Testamencie nie ma mitycznej walki bogów, boskiego pochodzenia królów a nawet samego narodu izraelskiego mimo jego wybrania, nie ma kultu seksualnego i sakralizacji płodności natury. Już samo porównanie tekstów biblijnych, w których najwyraźniej występują wpływy pogańskich mitów, z tekstami mitologii ościennych narodów, świadczy najgruntowniej o zasadniczej różnicy tak dalece, że można mówić o „racjonalizacji" i „historyzacji" trydycji hebrajskiej.

W księgach biblijnych przeplatają się dwa czynniki: factum i credo, historia i wyznanie. Nie wolno ich od siebie oddzielać, jak robi to Kosidowski. Credo wyrasta z faktów a fakty są wyjaśniane w świetle creda. Niepodobna faktów biblijnych interpretować w oderwaniu od creda, nie można o nich mówić nie wymieniając ich kerygmatyczej roli. Teologia protestancka już dawno zaniechała naturalnego tłumaczenia cudów biblijnych. Doszła do przekonania, że za „faktami" biblijnymi kryją się ciekawe rzeczy nie mające nic wspólnego z cudami przyrodniczymi. Cud jest pojęciem religijnym i niepodobna do niego przykładać miary nauki. To zjawisko wiary a nie przyrody.

Dla przykładu wymieńmy Mojżeszowy „cud" przemiany wody w krew (Ex. 7, 20). Kosidowski (str. 124) powiada, że wody Nilu w okresie przyboru zabarwiały się często (!) na kolor brunatno-czerwony dzięki osadom pochodzącym z jezior etiopskich. Skoro „cud" był wywołany zjawiskiem naturalnego przyboru wody, to musiałby się chyba regularnie powtarzać każdego roku, wobec czego przestałby być cudem. Zresztą o dwa wiersze dalej czytamy w Biblii, że tego samego „cudu" dokonali czarodzieje egipscy. Jakże mogli oni przemienić wodę Nilu w krew, skoro zrobił to przednimi już Mojżesz? Najwidoczniej chodzi tu o coś innego. Egzegeci dzisiejsi upatrują w tym miejscu nie cud przyrodniczy, lecz ślad starego... haruspicium.

Gdyby Kosidowski znał książkę protestanckiego teologa i starotestamentowca Gerharda von Rada „Der heilige Krieg im alten Israel" (Zürich 1951),

nie musiałby usprawiedliwiać krwiożerczości Izraelitów, którzy przy zdobywaniu Ziemi Obiecanej wyrzynali w pień wszystko, „aż do najmniejszego szczenięcia" albo „aż do moczącego na ścianę", jak lepiej chce czeska Biblia Kralicka (1 Sam. 25,34; 1 Król. 16,11; 2 Król. 9,8; 1 Sam. 25,22; 1 Król. 14,10). Kosidowski wie, że mimo okrutnego wojennego prawa c h e r e m, stara ludność Kanaanu wcale przez Izrael wytępiona nie została, a z M. Notha (Geschichte Israels, Berlin 1955) i z cytowanego już K. Fröra dowiedziałby się, że stara ludność Kanaanu to Hebrajczycy, jako że w Egipcie nie był cały Izrael a tylko niektóre i to nie całe szczepy izraelskie. Poza tym wiedziałby, że to nie Izrael walczył z pierwotną ludnością Kanaanu, lecz sam Pan ze solarnymi i lunarnymi bóstwami Kanaanejczyków. W świetle tej teorii nie słońce stanęło w Gabaon, lecz Baal ustąpił przed Panem. Jozue przecież do pokonania Amorejczyków nie potrzebował światła dziennego. Gedeon i Saul umyślnie walczyli w nocy. Gdyby Kosidowski to wiedział, nie musiałby uciekać się do naiwnej hipotezy tłumaczenia „cudu" w Gabaon jako figury stylistycznej, opiewającej w ten górnolotny i egzaltowany sposób chwałę Jozuego (str. 174), no i nie musiałby wyrażać się z przekąsem o „fideistach".

Zgoła zabawny jest już fikcyjny przewód sądowy, który Kosidowski przeprowadza (str. 253—262) między Saulem i Dawidem, a w którym ostateczny werdykt ma wydać czytelnik. Zgromadzone przez Kosidowskiego przesłanki oskarżenia i odwodu są tak jasne, że z góry wiadomo, jak wypadnie werdykt czytelnika. Saul jest (zdaniem Kosidowskiego) wrogiem kapłanów i dlatego został przez redaktorów Biblii, a tymi istotnie byli kapłani, odmalowany jako „czarny charakter", jakkolwiek ani w setnej części nie dopuścił się tak nikczemnych zbrodni, jak ulubieniec kapłanów, Dawid, którzy swojego pupilka wybielili i wynieśli pod niebiosy.

Porównanie zbrodni Dawida z „nieposłuszeństwem" Saula przemawia oczywiście na korzyść tego ostatniego. Tylko że w Biblii nie chodzi o grzech większy czy mniejszy (o klasyfikacji grzechów mówi tylko Kościół rzymskokatolicki!), lecz o skruchę człowieka. O Dawidzie możemy powiedzieć, że szczerze i uczciwie się kajał, o Saulu tego powiedzieć nie możemy. Owszem, wszelkie upomnienia wywoływały w nim odwrotny skutek i dlatego pisarze biblijni nie wahają się mówić, że Saula opętał zły duch. Karol Barth, który niezawodnie jest lepszym znawcą Biblii niż Kosidowski, a który w swej scteriologii posuwa się nieledwie aż do heretyckiej apokatastasis panthon (tj. do twierdzenia, że wszyscy ludzie ostatecznie zostaną zbawieni), jedynego człowieka zatraconego w Nowym Testamencie upatruje w zdrajcy Judaszu, a obok niego stawia ze Starego Testamentu właśnie „niewinnego" Saula (por. też Fröra str. 204).

W książce Kosidowskiego, która ma być tylko streszczeniem „opowieści biblijnych", z natury rzeczy po macoszemu potraktowane zostały dwa najważniejsze obok „Tory" działy Starego Testamentu: Kethubim i Nebijim, Pisma (a szczególnie Psalmy) i prorocy, bez których Stary Testament przestaje być Biblią. Kosidowski mówi wprawdzie i o psalmach i o prorokach, ale niejako prześlizguje się tylko po nich. Może mniej, ale z większym naciskiem mówi o kapłanach.

Kosidowski wychodzi z popularnego dziś wśród pewnych sfer zapatrywania, że w Biblii może są piękne i prawdziwe rzeczy, ale zniekształcili je redaktorzy i kopiści, tj. kapłani, którzy naginali wszystko do swoich tendencji religijnych i wiele spraw naświetlili ze stanowiska purytańskiego jahwizmu. Ale „nasza wiedza" wykrywa ten nikczemny fałsz! Dziwne postępowanie! Z jednej strony twierdzi się, zresztą słusznie, że Biblia nie jest księgą historyczną i naukową, ale z drugiej strony stosuje się do niej historyczne i „naukowe" metody. Biblia jest księgą religijną a „fideista" nie czyta jej po to, aby się z niej dowiedzieć, co i kiedy się w Izraelu stało, albo jaki wówczas przytrafił się „cud", lecz po to, aby właśnie z ust owych kapłanów, redaktorów i pisarzy biblijnych dowiedzieć się coś o Bożym Słowie, o tym, co chce od niego wiecznie żywy i zawsze ten sam na wieki jego Pan. Ludzkie słowo kapłanów, proroków, apostołów, a nawet redaktorów, pisarzy i przepisywaczy staje się dla wierzącego Słowem Bożym tak samo, jak Słowo Boże w Jezusie Chrystusie staje się dla niego słowem ludzkim (K. Barth). Kiedy się tego nie widzi i nie uznaje, Biblia staje się tylko zbiorem mitów, legend, cudów i opowieści mniej lub więcej zbliżonych do „Baśni z tysiąca i jednej nocy" lub do baśni o Żeglarzu Sindbadzie, czyli innymi słowy staje się Biblią po świecku.

KOMUNIKATY LOKALNE

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Parafia Ewangelicko-Reformowana
Al. Świerczewskiego 76

7.6.64 Niedziela (II po Trójcy św.)
godz. 11 — nabož. z Kom. św. — Ks. Jan NIEWIECZERZAŁ

14.6.64 Niedziela (III po Trójcy św.)
godz. 11 — nabož. z Kom. św. — Ks. Jan NIEWIECZERZAŁ
Konfirmacja

21.6.64 Niedziela (IV po Trójcy św.)
godz. 11 — nabożeństwo — Ks. Jan NIEWIECZERZAŁ

28.6.64 Niedziela (V po Trójcy św.)
godz. 11 — nabożeństwo — Ks. Bogdan TRANDA

Parafia Ewangelicko-Augsburska
św. Trójcy Plac Małachowskiego

7.6.64 Niedziela (II po Trójcy św.)
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — nabož. z **Kom. św. — Ks. Ryszard TRENKLER**
14.6.64 Niedziela (III po Trójcy św.)
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — nabož. z **Kom. św. — Ks. Ryszard TRENKLER**
21.6.64 Niedziela (IV po Trójcy św.)
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — nabož. z **Kom. św. — Ks. Ryszard TRENKLER**
28.6.64 Niedziela (V po Trójcy św.)
godz. 10,15 — spowiedź
godz. 10,30 — nabož. z **Kom. św. — Ks. Ryszard TRENKLER**

UWAGI REDAKCJI. Poglądy autorów podpisujących się pod artykułami nie zawsze pokrywają się ze stanowiskiem Redakcji. Wszystkich współpracowników uprasza się o nadsyłanie artykułów w dwu egzemplarzach z interlinią i marginesem, dokładnie poprawionych. Maszynopisów nie zamówionych artykułów, publikowanych jak i nie publikowanych, Redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. **REDAKCJA I ADMINISTRACJA:** Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83. **REDAGUJE KOLEGIUM:** redaktor naczelny — ks. **Jan Niewieczerzał**, zastępca redaktora naczelnego ks. **Ryszard Trenkler. PRENUMERATA:** rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer poledyńczy 4 zł. **Konto PKO** Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła.

Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 2 ark. druk. Zam. 840. Z-44.